Nr. 66. Lwów, Niedziela dnia 1. Grudnia 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Roczne 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Kiedy po owem pomyślnem polowaniu na gołębie i przedwieczornej godzinie spędzonej z Władkiem na dachu chaty Wierzbowej, Marcysia ostrożnie uchyliła drzwi izby swej matki, z wewnątrz głos kobiety zawołał:

— Czy to Marcysia?

Miała ona zwyczaj, po powrocie z wycieczek swych, ostrożnie zawsze uchylać drzwi izby matczynej, aby z widoku, który się jej przedstawi i z dźwięku głosu matki, wnieść o stanie, w jakim znajduje się ta ostatnia i albo wejść do izby albo coprędzej uciekać do jaru do wierzb, zawsze na nią łaskawych... do Władka. Tym razem, Elżbietka siedziała na stołku, w głębi malutkiej, niskiej, odymionej izdebki i przy świetle lampki postawionej na kulawym stole, cerowała starą swą odzież. Marcysia weszła i przybliżywszy się do matki, nieruchomo przy stole stanęła. Niedowierzała jeszcze, nie była pewną jakie spotka ją przyjęcie i w każdej chwili chciała być gotową do odwrotu. Ale wieczoru tego, Elżbietka trzeźwą była zupełnie. Podniosła oczy na córkę, a czoło jej gęsto sfałdowane wprzódy rozjaśniło się nieco.

— Przyszłaś? — zaczęła tonem burkliwym nieco, ale który gniewnem uniesieniem wcale nie groził; — myślałam, że znów cię licho jakie nosić będzie po świecie przez tydzień jaki! Czegoż tak pospieszyłaś się? Trzeba było znowu na podwórzu gdzie przenocować! Oj, ty nic dobrego! żebym ja ciebie nigdy była nie widziała, szczęście to byłoby moje...

Marcysia stała wciąż nieruchoma, tylko łokieć oparła na stole a twarz na małej dłoni i zrazu nic nie odpowiadała. Widać było jednak, że coś w niej kipiało. Na dziecinnem jej czole powstała zmarszczka i czarne oczy błysnęły.

— To i dobrze; — odpowiedziała po chwili — kiedy tak chcecie to i nie będziecie widzieć mię nigdy... pójdę sobie od was i nie powrócę... Buch, w wodę! i tyle mię widzieć będziecie co ten kamień, kiedy go Władek w sadzawkę wrzuci!

Elżbietka przywykła snać do rozmów takich z córką, nie podniosła nawet oczów na nią, tylko po chwili, przewlekając grubą igłę przez drące się pod nią łachmany, zwolna i więcej do siebie niż do dziecka mówić zaczęła:

— Buch w wodę! oho! poczekaj trochę! Jak ci życie zbrzydnie tak jak mnie zbrzydło, jak jedni ludzie oszukają cię a drudzy oplują, jak ze zgryzoty i wstydu rozpijesz się, a na kark dostaniesz dzieciaka, którego będziesz chciała wykąpać w chmurce złotej a wykąpiesz w błocie... wtedy utopisz się i dobrze zrobisz! Oj czemu ja topielicą lepiej nie zostałam? Żebym niemowlęcia nie żałowała... zostałabym...

Tu Marcysia drugi jeszcze łokieć na stole oparła, i przestępując z nogi na nogę, głośnym wykrzykiem mowę matki przerwała:

— Powiedzcie bajkę o topielicach!.. powiedzcie! — zawołała.

Trzymające robotę ręce Elżbietki opadły na jej kolana. Z roztargnieniem spojrzała na dziecko, wsparła twarz na dłoni i czarne, smutne oczy swe utkwiwszy w jeden punkt ciemnej ściany, monotonnym głosem i kołysząc się z lekka w obie strony mówić zaczęła:

— Topielice na dnie wody spokojnie sobie leżą, w pachnące ziele owinięte, złotym piaskiem posypane... Pan Bóg przysełał im we dnie promyczki słońca i rybki, które nad niemi perełkami srebrnemi pluskają... a w nocy idą one na wierzch wody, księżycowi i gwiazdom przypatrują się... a skoro dzień świtać zacznie, śpiewają sobie razem:

Oj wody, wody, idziemy do was,
Bo świat szeroki znać nie chciał nas!...

Ostatnie wyrazy zanuciła i nagle przerywając sobie, jakby ze snu zbudzona, dodała:

— Dobrze im! oj! czemu ja topielicą nie zostałam, kiedy na mnie ta nieszczęsna godzina przyszła...

Podniosła oczy i wlepiła je w córkę.

— Zostaniesz może ty! — szepnęła. — I! pewno!... jaka twoja dola być może?... ot chyba taka jak i moja...

Zrenice jej drgnęły przestrachem i błysnęły wielkiemi łzami. Jednocześnie porwała się ze stołka i zaczęła tu i owdzie chodzić po ciasnej izbie. Nachyliła się nad leżącą na ziemi szczupłą swą pościelą i przerzuciła ją drżącemi rękami, otworzyła skrzynię, na dnie której leżało kilka łachmanów i zamknęła ją ze stukiem, pochwyciła z kąta polano i rozgrzebała niem w starym, rozsypującym się piecu garstkę węgli i popiołu... potem, stanęła na środku izby i z obwisłemi rękami, wpatrzona w ziemię, myślała długo.

— Pójdę — rzekła — niech co chce będzie, pójdę i poproszę Wierzbowej... trzeba to raz skończyć... upamiętać się... dla dziecka...

Zarzuciła na głowę podartą chustę, zgasiła lampkę i zostawiając dziecko w ciemności, wyszła. Wyszedłszy, gnana jakby trwogą lub gwałtownością powziętego postanowienia, nie szła ale biegła ku chacie wiszącej u ściany jaru i mrugającej zdala niby kociemi oczami, dwoma jaskrawo żółtemi okienkami.

W chacie, przy stole, na którym palił się łojowy kaganek, siedziała Wierzbowa i z głową opartą na skrzyżowanych na stole ramionach, drzemała. Nie kładła się do snu, bo pora była dość wczesna jeszcze, aby ktokolwiek z klijentów jej mógł ją odwiedzić. Jakoż, zastukano z lekka w szybę i za oknem ozwał się głos Elżbietki. Stara powstała i otworzyła drzwi.

— Ja bo się tak zamykam przed tym urwiszem Władkiem — rzekła do wchodzącej — wołałam go, żeby szedł nocować do chaty,

nie posłuchał... niechże teraz za pokutę śpi na dworze... oj! dzieci! dzieci! jaka z niemi bieda!

Usiadła znowu na ławce i małemi oczkami, głęboko osadzonemi śród wielkiej pomarszczonej twarzy, na przybyłą patrzała.

— Ja też — zaczęła Elżbietka stając przed nią — ja też dziś do pani Wierzbowej przyszłam względem dziecka... to jest... względem siebie, ale... dla dziecka...

— Cóż tam? cóż? — zapytała stara — jeżeli pieniędzy pożyczyć to nie mam... nie mam...

— Nie — przerwała Elżbietka — względem tej służby co to u jakiejś pani na wsi zdarza się.

— A! — przeciągle wymówiła Wierzbowa i zamyśliła się. Potem czyniąc ręką i ustami ruch taki, jakby coś do dna wychylała, zapytała:

— A cóż z tem będzie?

Zachichotała z cicha i dodała:

— Ja bo do takich wielkich państwa nie mogę rekomendować pijaków... co innego tu, do mieszczuchów tych...

Elżbietka machnęła ręką i przerwała.

— Aj! — rzekła — narekomendowaliście wy na służbę pijaków co nie miara! Gdzie pijaństwo zaczyna się, ztamtąd ono i na świat wychodzi. Co to o tem i mówić! Chcecie targować się ze mną? dobrze! oddam wam cały zadatek jaki od tej pani wezmę, tylko zarekomendujcie!.. ja chcę z miasta precz! na wieś! z parę lat tam pobędę, to może ten dyabeł co mię opętał, odstąpi...

Wierzbowa patrzała na mówiącą tak kobietę wpółżartobliwie, wpółbacznie.

Zkądże wam znowu raptem to opamiętanie przyszło? — zapytała.

— Raptem? — szepnęła Elżbietka i wybuchając mówić zaczęła prędko i głośno; — a zkądże wy wiecie, że raptem? zkąd wy możecie wiedzieć ile ja razy szłam do szynku i nie doszłam, wracałam się i włosy sobie z głowy wyrywałam i łzami oblewałam mój nędzny barłog? Zkąd wy wiecie ile ja nocy przemodliłam się do Pana Boga, aby na mnie opamiętanie a dla mego dziecka wybawienie zesłał? Rośnie to i rośnie... a śliczna, a rozumna... a co z niej będzie, jeżeli ja z sobą nie zrobię czego... Ot! przyszedł moment, że zrobić muszę... ale tutaj... gdzie szynk co kroku a znajomych pełno, a ludzie wstydem moim w oczy mnie kolą... nie sposób! Trzeba mi ztąd precz... na wieś, pod boże niebo... tam dzień za dniem potoczy się jednostajnie... a cicho... a nędza w oczy nie zajrzy i serca nie zgryzie... ja na wsi urodzona i zhodowana... jak las zobaczę i trawę zieloną i ruczaj jaki na łące... to może... może... Pan Bóg zlituje się i moc da!..

Mówiła to ze wzruszeniem szczerem i silnem. Oddychała prędko, ręce splatała u piersi a twarz jej cała była w ogniu i łzach.

Wierzbowa patrzała na nią z coraz większą ciekawością i coraz zjadliwszym uśmiechem w oczach i na wydatnych, pomarszczonych wargach.

— No, no! — zaczęła kiwając głową — próbujcie... próbójcie... ja zarekomenduję... czemużby nie? jeżeli obiecujecie, że nie zrobicie mi przed tem państwem wstydu i szkody. Ale musicie mi zadatek swój oddać caluteńki...

— Tylko sobie trzewiki kupię, bo przecież nie mogę w służbę iść boso — z nieśmiałością wtrąciła Elżbietka.

— Co tam, trzewiki! już ja wam swoje dam... nadnoszone trochę, ale dobre będą... Oddacie mi za nie tę chustkę popielatą w kraty... na co wam dwie chustki... A cóż z dzieckiem zrobicie?

Elżbietka rzuciła w stronę kilka spojrzeń niespokojnych i ponurych.

— A cóż mam zrobić? — rzekła splatając znowu ręce — familii tak jak nie mam, a ta co jest, nie chce mię znać od tej godziny wstydu i nieszczęścia... Co ja mam z dziewczyną tą zrobić... z sobą mi jej wziąć nie dadzą! Muszę już chyba was prosić żebyście ją u siebie przez czas ten potrzymali...

Widać było, że myśl wyrażoną ostatniemi słowy przyjmowała niechętnie i z bojaźnią, jako jedyny tylko możliwy sposób poradzenia sobie. Ale Wierzbowa splasnęła dłońmi.

— A niechże mię Bóg i Najświętsza Panna od tego bronią. Dość ja już mam biedy z moim tym łotrzykiem...

— Moja pani Wierzbowo! — zaczęła Elżbietka — wszak ja jej nie wyrzekam się. Za rok, za dwa... jak tylko poczuję, że mi już Pan Bóg łaskę swoją zesłał i z grzechu mię wybawił powrócę... akuratnie pracować zacznę i ją do siebie wezwę.

— Za rok, za dwa... To kawał czasu, moja kochana, kawał czasu wielki. A wieleż przez czas ten dziewczyna ta chleba zje u mnie... a u mnie bieda... ja nie mam z czego...

— Wszak ja jej nie wyrzekam się — powtórzyła Elżbietka — regularnie połowę pensyi mojej przesełać wam będę dla niej, a drugą połowę składać sobie, żeby mieć za co jakie takie gospodarstwo zaprowadzić, gdy wrócę i ją do siebie wezmę...

Wierzbowa myślała chwilę.

— A no! — rzekła — cóż robić? trzeba czasem ludziom dopomódz... niech już i tak będzie. Przyprowadźcie tu dziewczynę przed wyjazdem... wezmę ją do chaty... może mi w czem i pomocną będzie.

— Niech będzie! niech będzie! — zawołała Elżbietka — ja nie od tego jestem, żeby ona do pracy przywykała. Każecie jej wodę nosić, w ogrodzie pełć i wszystko robić... i owszem... co zarobi, niech wam odnosi, a wy jej za to strawy nie pożałujecie i łachman jaki sprawicie...

Pochyliła się szybko i rękę Wierzbowej do ust podniosła.

— Dobrodziejko! — szeptała — miła moja! matko moja! bądźcie dla tej biednej sieroty z sercem litościwem... nie dajcie jej głodem mrzeć i włóczyć się po mieście za żebraniną... Kiedy zasłuży, ręki nie żałujcie, ale kiedy nie zasłuży, nie krzywdźcie. Do grobu wdzięczna wam będę za to i gdy powrócę nogi wasze ucałuję jak świętej patronce... Wszakci powinniście coś zrobić dla mnie... Wszakci ja dałam wam przez te wszystkie lata nieszczęsne, trochę grosza zarobić... Wszak... Wszak... Bogiem a prawdą... moje najgorsze nieszczęście tu, w waszej chacie zaczęło się... bom ja tu... z waszej ręki, pierwszą czarkę tej wódki przeklętej wzięła... nie chciałam, namówiliście... w kompanii wypiłam raz i drugi... u was że... ot tu na tej ławie... a potem...

— No, no! — przerwała Wierzbowa — dość już, dość tego proszenia i lamentowania! Jutro zaprowadzę was do tych państwa i zarekomenduję... za dwa dni do mnie dziewczynę przyprowadzicie i wyjedziecie sobie... Już ja taka, jak mię kto o co prosi, nie mogę wytrzymać i zrobię...

Elżbietka wyszła. Wierzbowa zdejmując z głowy biały czepiec uśmiechała się długo. Znać było, że czuła się zadowoloną ze zrobienia interesu wielustronnie może dla niej korzystnego.

— Upamiętać się nie upamięta—szeptała— jeszczem nigdy nie widziała tego, aby pijaczka taka pić przestała... ale z początku przysełać pieniądze będzie... potem, dziewczyna podrośnie i na zarobki pójdzie... a potem...

Przestała szeptać, tak jakby myśli swojej nawet otaczającym ją brudnym i okopconym ścianom powierzać nie chciała i zdmuchnęła kaganek.

W dwa dni potem, ścieżką wspinającą się od przedmieścia po ścianie jaru szła Elżbietka prowadząc córkę za rękę. Marcysia, która wiedziała już, że zostanie w chacie Wierzbowej, idąc wyskakiwała i oglądała się wciąż za Władkiem, aby się z nim tą nowiną podzielić. Na dachu siedział gołąb Lubuś i wykręcając czupurną główkę na wsze strony, gruchał donośnie, jakby kogoś ku sobie przywoływał. Ujrzawszy go, dziewczynka wybuchnęła głośnym chichotem.

— Widzicie? — zawołała wskazując palcem gołębia — widzicie? ot Lubuś! on mnie tak woła i Władka! Zaraz my tam pójdziem na dach... po niego... a potem na przedmieście polecim...

Stanęły przed drzwiami chaty, Elżbietka pochyliła ku córce twarz bladą i spłakaną.

— No — rzekła — już ja sobie pójdę i nie powrócę aż za rok albo za dwa... a ty Marcysiu pamiętaj co ja tobie mówiłam... grzeczną być, pani Wierzbowej słuchać, do miasta nie latać... czy będziesz pamiętać?

— Będę! będę? — z roztargnieniem i spoglądając w głąb jaru w nadziei, że ujrzy tam Władka, odpowiedziała Marcysia.

— Marcysiu! — zaczęła znowu kobieta — czy tobie nie żal matki? Wszak ja tobie nie zawsze złą matką byłam. Karmiłam cię czasem i całowałam, na ręku mojem nosiłam i bajki ci mówiłam...

Dziewczynka podniosła głowę i utkwiła w twarzy matki wzrok, w którym przez chwilę jeszcze migotały swawolne, niedbałe uśmiechy. Potem Elżbietka wzięła ją w objęcia i uniosła z nad ziemi.

— Pocałujże matkę — rzekła z cicha — no, pocałuj... mocno!

Oczy jej patrzały tak żałośnie, ramiona zacisnęły się tak silnie a usta uśmiechały się z takim miękkim smutkiem, że dziecko piersiami do piersi a ustami do ust jej przylgnęło i wybuchnęło głośnym, rzewnym płaczem.

(C. d. n.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSCHBERGA.

(*Ciąg dalszy.*)

W sąsiednich Węgrzech, szczególniej po bitwie pod Mohaczem istniały właśnie wówczas

stosunki, wśród których mogłyby mieć powodzenie ambitne plany Hieronima. Obok coraz bardziej wzrastającego niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad szczęśliwem i kwitnącem do niedawna królestwem Arpadów z południa, ze strony olbrzymiej potęgi Solimana, groziła mu od zachodu niemniej niebezpieczna walka z potężnym domem Habsburskim. Po śmierci bowiem Ludwika II, który poległ w pamiętnym boju na polach mohackich, wystąpił Ferdynand arcyksiążę rakuski z swojemi prawami do tronu węgierskiego. Jakkolwiek pretensye jego uzasadnione były na dawnych traktatach i prawie sukcesyjnem, to jednak ogromna większość narodu z niechęci do domu austryackiego wybrała królem Jana Zapolyę, a obok kandydata rakuskiego stanęła tylko nieliczna garstka magnatów. Sytuacya, stworzona w ten sposób przez wypadki zewnętrzne i pierwszorzędnej wagi sprawy domowe, wymagała niepospolitych przymiotów u kierowników państwa, jeżeli naród węgierski bez strat i z honorem miał wyjść z trudnego położenia. Zapolya nie dorósł niestety do zadania, jakie nań czekało po objęciu rządów: zamiast od razu stanowczo wystąpić przeciw stronnictwu austryackiemu i z bronią w ręku ogólne wywalczyć sobie uznanie, tracił on pierwsze najważniejsze chwile na bezowocnych układach, usiłując drogą rokowań utrzymać się na tronie, a przez zawarcie korzystnych aliansów uzyskać przewagę nad przeciwnikiem. Nie w orężu pokładał swe nadzieje, lecz w zręczności swych ajentów dyplomatycznych, w związkach z innemi państwami, które również zamierzały oprzeć się dalszemu wzrostowi potęgi Habsburskiej.

Wobec takiego prądu, panującego na dworze węgierskim, nader pożądanem musiało być dla Zapolyi pozyskać tak znakomitego dyplomatę, jakim już wówczas był wojewoda sieradzki. Obznajomiony z stosunkami dworów europejskich i mimo młodego wieku słynny z swej zręczności dyplomatycznej, niepospolitej bystrości umysłu i energii, wykształcony i układny Hieronim dla każdego monarchy byłby nader cenną akwizycyą; tem większego powodzenia mógł się spodziewać w Węgrzech, które wówczas wcale nie obfitowały w osobistości tego rodzaju.

Ambitny synowiec arcybiskupa niedługo też wahał się z powzięciem w tej sprawie swojego postanowienia. W połowie Grudnia r. 1526 wróciło z Węgier poselstwo polskie, wysłane na ostatni sejm elekcyjny. Relacye i opowiadania posłów królewskich zapewne jeszcze bardziej utwierdziły go w tej myśli, że oddając swe usługi Zapolyi, w Węgrzech świetną znajdzie przyszłość i że tam najłatwiej spełnią się najpiękniejsze sny jego młodości i najgorętsze pragnienia wieku męskiego.

Pod pozorem pielgrzymki do Matki Boskiej loretańskiej wyjechał Łaski w połowie Kwietnia [1]) roku następnego do Węgier. Niewątpliwie z radością przyjęty przez króla Jana, już z końcem tegoż miesiąca [2]) w dalszą puścił się drogę dla zebrania nowemu panu tak pożądanych przezeń sprzymierzeńców. Monachium, Paryż, Londyn i Kopenhaga, oto główne ognisko jego ówczesnej działalności poselskiej. Z końcem Września tegoż roku (1527) powrócił Hieronim z swej misyi dyplomatycznej. Podczas jego nieobecności w Węgrzech zaszły tu jednak wypadki, które sprawie Zapolyi nader smutny nadały obrót. Po klęsce, poniesionej przezeń w bitwie tokajskiej, opuściło go bardzo wielu z dotychczasowych stronników, sprzymierzeńcy zaś z powodu odległości nie mogli mu skutecznej udzielić pomocy. Tak więc opuszczony przez swoich i nie czując się już nawet bezpiecznym w swem królestwie, bez nadziei poparcia ze strony innych państw chrześcijańskich, ujrzał się Zapolya w smutnej konieczności szukania związków z Solimanem, dla zapewnienia sobie choćby tureckich posiłków w walce z Ferdynandem. Misyi tej podjął się Łaski i z końcem r. 1527 wyjechał do Carogrodu, gdzie go jednak w spełnieniu tego zadania niemałe czekały trudności. W ówczesnej bowiem sytuacyi było to rzeczą arcytrudną uzyskać pomoc turecką, w sposób nie ubliżający godności narodu węgierskiego. Pogrom na polach mohackich i zdobycie przez Turków węgierskich twierdz pogranicznych prawie całe królestwo rzuciło pod stopy zwycięzcy. Sułtan i baszowie tureccy uważali Węgry jako kraj przez siebie zdobyty i tylko w zamian za uznanie zwierzchnictwa go towi byli pospieszyć z pomocą.

W takich warunkach w połowie Grudnia stanął Łaski w Konstantynopolu, po przebyciu niezliczonych trudów i niebezpieczeństw, jakich doznawał w ciągu długiej podróży wśród ludności nawpół dzikiej i rozbójniczej. Odarty z wszelkiego mienia i przybywszy do Carogrodu bez podarunków dla sułtana i baszów, nawet bez listu żelaznego, znalazł się Hieronim w nader trudnem położeniu. Turcy uważali go za gońca pospolitego, oddali pod ścisły nadzór i dopuścić nie chcieli do żadnego z wyższych dostojników. Dopiero po dłuższych zabiegach udało mu się uzyskać posłuchanie u wielkiego wezyra Ibrahima baszy. Żądał on przedewszystkiem podarunków dla sułtana, uznania jego zwierzchnictwa i haraczu. Od wymagań tych nie odstępowali także inni baszowie, uważając je jako pierwszy warunek dalszych układów. Z niezrównaną zręcznością, nie obrażając narodowej dumy tureckiej, wykazywał Łaski niestosowność tych żądań, a zarazem jednał sobie przychylność dostojników sułtańskich ujmującem jakkolwiek pełnem godności postępowaniem. Wśród tych układów udało mu się obietnicą znacznej nadgrody pozyskać ulubieńca wielkiego wezyra, Alojzego Grittiego, a przy jego pomocy na korzyść Zapolyi zmienić usposobienie tak Ibrahima baszy jak samego Solimana. Turcy odstąpili od swych dotychczasowych wymagań, a niebawem (29go Lutego 1528 r.) zawarto traktat przymierza, w którym sułtan zobowiązał się wspierać „brata swego króla węgierskiego“ całą swą potęgą i przeciw wszelkim nieprzyjaciołom. Łaskiego obsypał Soliman podarunkami i na czele 10,000 doborowej jazdy wysłał na pomoc Zapolyi [1]).

W układzie wówczas zawartym nie było najmniejszej wzmianki o jakiejś zawisłości Węgier od W. Porty: stosunek, jaki odtąd miał łączyć Zapolyę z sułtanem tureckim, miał być związkiem przyjaźni, opartym na przymierzu i wspólności interesów. Tak więc zwycięstwo dyplomatyczne Łaskiego było w całem tego słowa znaczeniu świetne i zupełne. Jeżeli zaś później stosunek ten przybrał dla Węgier cechę upokarzającą, nie było to winą Hieronima, lecz skutkiem braku zdolności politycznych u Zapolyi, a poniekąd trudności ówczesnej sytuacyi, z której chcąc wyjść zwycięsko, należało być tak bystrym politykiem, jak zręcznym dyplomatą był wojewoda sieradzki.

W miesiąc później wyruszył Łaski do Węgier, na czele owych posiłków zbrojnych, wysłanych na pomoc Zapolyi przez sułtana. Zanim wkroczył w granice królestwa węgierskiego, posłał Ferdynandowi list z wypowiedzeniem wojny [1]). Śmiały ten czyn Hieronima wywołał niemałe oburzenie na dworze rakuskim. Ferdynand natychmiast uwiadomił o tem króla polskiego, usiłując przy tem wybadać jego usposobienie dla wojewody, a pośrednio także dla swojego przeciwnika Zapolyi [2]).

Od początku tej walki z największym niepokojem śledził dom austryacki postępowanie w tej sprawie Zygmunta, gdyż dla obydwóch współzawodników miało ono tak wielką doniosłość, iż z pewnością szala zwycięstwa przychyliłaby się na tę stronę, której Polska udzieliłaby swojej pomocy. Obawy jednak pod tym względem dworu austryackiego zupełnie były płonne. Zygmunt bowiem postanowił ścisłą zachować neutralność, poniekąd dla tego, że czuł się związanym traktatem przymierza z r. 1515 — głównie zaś z obawy, aby dyplomacya rakuska ponownie nie podburzyła Moskwy przeciw Polsce.

Wobec takiej polityki króla polskiego usposobienie jego dla Hieronima nie mogło być nader przychylnem za jego zabiegi podejmowane w usługach Zapolyi. Niechęć Zygmunta była tem większą, że nie brakło także innych powodów, którymi wojewoda zasłużył sobie na niezadowolenie królewskie. (C. d. n.)

O ZASYPIANIU I BUDZENIU SIĘ

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

(Ciąg dalszy.)

Nie należy więc faktów marzenia naukowego przez rozpęd, po wytężonej pracy przed zaśnięciem, mięszać z istotnem myśleniem naukowem. Bezwiedne kombinowanie się wątpliwości za dnia odbieranych, może wprawdzie wykazać po obudzeniu jakieś nowe zestawienie, które nam pracę ułatwia; ale w samym tym czysto mechanicznym, rozpędowym procesie wyrównywania się myśli sprzecznych, nie znajdziemy nic *dowolnego,* nic coby przypominało zwroty woli czuwającej. Ku temu za mało jest logicznej *rozmaitości* w procesie sennym, za mało *opozycyi duchowej.*

Wzajemne powstrzymywanie się motywów w ma-

---

[1]) 2. Kwietnia 1528 r, był jeszcze w Krakowie (Acta Tomic. T, VIII. Nr. CXLIV), w listach zaś pisanych 11go t. m, znajdujemy wzmianki o jego „pielgrzymce do Loreto“ jako o wypadku, który wkrótce ma nastąpić (tamże t. IX. str. CXVII—CXIX.)

[2]) List Zapolyi uwierzytelniający Łaskiego przy dworze francuskim datowany z 26 Kwietnia 1527 r, Charriére, Negociations de la France dans le Levant. T, I p. 158.

[1]) Legacyę tę opisał sam Hieronim w listach współczesnych z Konstantynopola (Arch. ces. wiedeńs. Hungarica 23—24 Jan. 1528 — Acta Tomic. Kod. Sap. t. VII. k. 160a). jako też w osobnym dyaryuszu p. n. Historia arcana legationis etc. (Bel, Adparatus ad historiam Hung. str. 159—189).

[1]) Ciekawy ten akt znajduje się w oryginale w Arch, ces. w Wiedniu (Hungarica, pod dniem 10 Kwietnia 1528 r.); kopia w Tomicyanach (Kod. Sap. t. VII k. 157). Podaje go także Katona, Hist. crit, Reg. Hung. T. XX pars I. pag. 336—338.

[2]) Kopia tego listu Ferdynanda w Tomicyanach (Kod. Sap. T. VII. k. 154).

*

rzeniu sennem prawie nie istnieje. Jeżeli nas przejmuje strach, to całkowicie, jeżeli nienawiść to nieograniczona, jeżeli niemoc to zupełna. *Zmiany jednego uczucia w drugie nie leżą w charakterze snów.* Na jawie tymczasem bardzo często wahamy się pomiędzy sympatyą lub niechęcią, pomiędzy wątpliwością a nadzieją, pomiędzy potępieniem a uznaniem i to nietylko obcych, lecz i własnych czynów. Zdaje się zaś że we śnie ta ostatnia czynność przynajmniej, stanowczo nie istnieje. Nie znam żadnego snu, w którymby spiący sam moralnie rozważał swoje współczesne senne postępowanie, dając mu już to naganę już uznanie. Dowodziłoby to obecności przeciwstawień duchowych, które charakteryzują wyższe stany pełnej świadomości.

Możemy więc powiedzieć, że *we śnie wola ulega uproszczeniu i ograniczeniu.*

Ale co godne uwagi, to to, że *temu ograniczeniu towarzyszy* właśnie najczęściej *złudzenie nieograniczonej swobody*: pływamy w powietrzu jak ptaki, widzimy z odległości, posiadamy więdzę języków, układamy cały szereg poezyj i powieści, rozwiązujemy najzawilsze zagadnienia i t. p. Czemże się to dzieje? Oczywiście tem, że ponieważ nie ma rzeczywistej zapory, nie ma więc i poczucia przeszkód. Czucie ciała zostało sparaliżowane przez nieruchomość, nic też marzeniom naszym nie przeciwstawia rzeczywistości — jeżeli więc bujamy w powietrzu, to na zasadzie czynności myślowej, dla której przedmiotem jest tylko oderwane od zmysłów *wyobrażenie czucia ciała*, nie znajdujące przeszkody w uczuciu rzeczywistem ciężaru ciała chwilowo sparaliżowanem. Toż samo w złudzeniach co do czynności umysłowych. I tu nie ma tej przeciwwagi, jaką dają wrażenia lub wspomnienia dokładne; wyraz nieistniejący uchodzi za dobry, zdanie bez sensu przemawia do nas jako logiczne, samą siłą swojej intonacyi, najzawilsze zagadnienie zostaje rozwiązane przez użycie formuły bez znaczenia — wyobrażenie wyrazu zastępuje miejsce treści, wyobrażenie deklamacyi miejsce wyrazów, wyobrażenie gestu miejsce deklamacyi i tp. Wszystko to zaś staje się możebnem wskutek braku tej dwoistej krytyki, która wyłącznie nadaje wartość naszym myślom: krytyki wrażeń i krytyki wspomnień.—Pierwszej nie ma tu wcale, drugiej tylko ślady.

Jeżeli zaś wrażenia pozostały jeszcze w części, jeżeli niektóre z nich przeciskają się jeszcze do mózgu, wówczas występują one nie jako zarzuty, lecz tylko jako bodźce lub zapory. Ktoś np. śpi w jakimś odrapanym zajeździe, którego sufit pękł i kawałki wapna zsypuje mu na twarz do łóżka. Wrażenia te występują jako bodźce. Obudza się wyobrażenie sufitu walącego się, budzą się uczucia obawy, niebezpieczeństwa życia, i śpiący zrywa się na równe nogi, może istotnie ocalony snem proroczym. Albo też, śpiący snem nie głębokim marzy o napadzie zbójców, dopadają go, czuje że jeszcze mógłby się wymknąć, ale uczucie ciała zawiadamia go, że jest bezsilny, chce biedz, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, wytęża siły napróżno i z przerażenia budzi się. W tym razie czucie sparaliżowanych chwilowo mięśni działało jako zapora. Ani w jednym zaś ani w drugim razie wrażenia nie występowały krytycznie względem marzeń, nie prostowały one złudzeń snu, lecz tylko pobudzały je lub powstrzymywały *zachowując jednak senny ich charakter.*

Krytyka wspomnień jest jeszcze rzadszą, pomimo że wspomnienia same nawet jako wspomnienia nie są bynajmniej z treści snów wykluczone. Zdanie Tissot'a*) przez wielu innych autorów podzielane, jakoby podczas snu wspomnienie jako wspomnienie nigdy nie występowało, okazało się fałszywem, na podstawie spostrzeżeń, które mi udzielono i które następnie sam sprawdziłem. Jeden z naszych autorów mówił mi np. że we śnie prowadził dzieci na stacyą przed przyjściem pociągu, opowiadając im w marzeniu, że pamięta iż pociąg tamtędy nadchodzi, tu się zatrzymuje o tej a tej godzinie i minucie. Przyczem najdokładniej rozróżniał przyjazd pociągu jako wspomnienie i jako rzeczywistość.

Sam zaś miałem sen, w którym słysząc że osoba znana mi, rozmawiając z matką wspomniała jej córkę zmarłą przed kilku miesiącami, dawałem jej znaki, ażeby zaniechała tego przedmiotu, który staruszkę w najwyższym stopniu wzrusza i rozdrażnia. Oceniałem więc dokładnie nietylko wspomnienie jako wspomnienie, ale i stosunek jego do rzeczywistości.

Sny takie, w których występują *wspomnienia*, należą do rozsądnych, połączonych pewną nicią logiczną. Ale są one bardzo rzadkie — zwykle wspomnienie służy tylko za materyał i występuje jako obecność. To cośmy przeżyli, przeżywamy po raz drugi. Lecz i tu znowu ukazuje się nam bardzo charakterystyczna dla snów niedokładność. Już Fechner zauważył, że jeżeli sen powtarza sceny istotnie przeżyte, to nie czyni tego nigdy w sposób ścisły; wiele szczegółów opuszcza, nierównie więcej dodaje, a często nawet wspominanym sytuacyom nadaje całkiem inny charakter. Wówczas zwykle sprawcą metamorfozy jest *uczucie, które na jawie odpychaliśmy siłą woli.* Odepchnięte na jawie odzyskuje ono swe prawo we śnie, opanowywa scenę wyobraźni i dyryguje nią po swojemu. Poznałeś np. kogoś z kim masz wejść w bliższe stosunki; było coś niemiłego w tej twarzy, niemiłe wrażenie wywołało mimowolnie przykre *uczucie* obawy — ale stłumiłeś je wnet wobec zapewnień znajomych, poleceń i wreszcie wobec całego zachowania się odnośnej osoby. Na jawie zatem nie miałeś na seryo żadnej obawy przed człowiekiem, z którym miałeś wejść w stosunki — we śnie tymczasem, owo uczucie niemiłe, oswobodzone od nacisku krytyki innych wrażeń, staje się motywem przeróbki sennej, która do rozmowy wspomnianej dodaje szydercze uśmiechy, groźby, a nawet sztylet jakiś ukryty, którym twój wspólnik godzi na twoje życie. Niechże się okaże w przyszłości, że owo pierwsze niemiłe wrażenie miało swą podstawę w charakterze — a będziemy mieli sen w ścisłem i racyonalnem znaczeniu tego wyrazu *proroczy*.

Podobnie zaś jak tu wrażenie samo przez się niejasne wystąpiło jako motor snu — tak może nim być także wspomnienie wrażenia niegdyś bardzo jasnego ale dziś zupełnie zatartego w pamięci. To bowiem co musimy uważać za zapomniane na jawie, wobec fali całkiem innych zdarzeń i myśli, to może się przypomnieć we śnie gdy tego nacisku teraźniejszość na przeszłość nie wywiera.

Oto przykład bardzo ciekawy: Ktoś odbywał podróż do miasta rodzinnego, w którem nie był od lat kilkunastu. W drodze śni mu się że już do tego miasta przyjechał, że przegląda ulice i spotyka człowieka, który go wita, rozmawia z nim długo i powiada swoje nazwisko. I postać i nazwisko zachował w pamięci po obudzeniu. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy przyjechawszy do miasta spotkał między innemi tego samego człowieka, którego widział we śnie i który mu toż samo nazwisko oznajmił. Twarz była zupełnie podobna do tej, jaką widział w marzeniu tylko starsza niż we śnie. Sen był niewątpliwie *proroczym*; — ale cóż się okazało? Oto że ów jegomość, przyjaciel ojca, był mu znanym jako dziecku i tylko przez ciąg lat nie słysząc o nim wcale zapomniał i postać i nazwisko. Wobec zamierzonej podróży do miejsca rodzinnego wspomnienie odżyło jako obecność, i w dodatku jako przepowiednia.

*) „Tissot“. L'imagination, Paris 1868, str. 74.

Wogóle nie ulega wątpliwości, że *pamięć* podczas snu może być *wyjątkowo spotęgowaną odnośnie do pewnych faktów, ale zarazem jest zawsze przytępiona odnośnie do znacznej ich większości.* Dlatego to marzenie senne nigdy nie powtarza scen dokładnie. Jeżeli przypomni nam rzecz jakąś, o której zapomnieliśmy na jawie, to natomiast zapomni o bardzo wielu innych na jawie dokładnie nam znanych. Trafia się to mianowicie wtedy, gdy owe odpędzane za dnia *uczucia* stają się panami sytuacyi w nocy. Któż będąc studentem nie miał snu mniej więcej tej treści: staje do egzaminu, długo z niepokojem oczekiwanego, zadają mu pytania najprostsze, tymczasem on czuje że mu się wszystko wymknęło z pamięci, miesza się, jąka, nie może dobyć głosu, zapomina o najprostszych rzeczach i ostatecznie czuje, że przepadł z kretesem. Oblany zimnym potem budzi się i dopiero świadome zestawienie okoliczności przekonywa go, że egzamin wcale się jeszcze nie odbył, że więc nieszczęście było złudzeniem tylko. W tym razie *uczucie* obawy przygłuszone na jawie przeświadczeniem o starannem przygotowaniu - we śnie owładnęło umysł uśpiony, czuwający w niektórych tylko wyobrażeniach i uplastycznił o realnie treść i konsekwencye panującego uczucia.

Należy też zauważyć, że uczucia, które we śnie występują noszą zwykle cechę bierności i niedołęstwa. Strach należy do najpospolitszych. Zapał do najrzadszych. Częściej nam coś przeszkadza, niż my coś przezwyciężamy; raczej nas gonią niż my gonimy. Przytem wogóle uczucia słabną we śnie, a stając się silniejszemi — budzą.

(C. d. n.)

TRZYNASTY SĘDZIA.

NOWELLA

przez

ALBERYKA SECOND.

(Dokończenie).

VI.

Szósta godzina uderzyła na zegarze gmachu sprawiedliwości, kiedy sędziowie przysięgli przeszli do sali obrad dla wyrzeczenia o losie Piotra Granger.

Zaraz po zebraniu się i zamknięciu drzwi, podniósł się jednozgodny koncert zarzutów przeciw ohydnemu zbrodniarzowi. Jeden tylko major Vernoc odznaczał się uporczywem swem milczeniem; pogardliwy uśmiech igrał na zaciśniętych jego ustach.

Przed przystąpieniem do głosowania, senior przysięgłych zapytywał kolejno swoich współtowarzyszy, czy nie będą dopuszczone na korzyść obżałowanego jakie okoliczności łagodzące; wszy-

scy odpowiedzieli, że Piotr Granger jest potworem nie zasługującym na litość, i że jeden Bóg tylko w nieograniczonem miłosierdziu swojem, przebaczyć może tak zuchwałemu i zatwardziałemu zbrodniarzowi.

— A jakie jest pańskie zdanie pod tym względem? — zapytał senior majora.

Major powstał, oparł się o kominek i wodząc iskrzący swój wzrok po całem zgromadzeniu, wycedził zwolna następujące trudne do uwierzenia słowa:

— Ja będę głosować za bezwarunkowem uniewinnieniem Piotra Granger, a panowie pójdziecie za moim przykładem.

— Panie majorze — rzekł senior głosem surowym — Bogu tylko wiadome są tajniki pańskiego sumienia, ale nie masz pan prawa obrażać nas lekkomyślnie!

— Byłżebym tyle nieszczęśliwy, iżbym miał niechcący obrażać panów? — zapytał major z tak dobrze udanem podziwieniem, iż wydawało się zupełnie naturalnem.

— Alboż nie jest obrazą, posądzenie nas, iż moglibyśmy być zdolnymi podeptać nogami wysokie włożone na nas posłannictwo?

— Ba! co do mnie, łaskawy panie — odparł major — wiem tylko tyle, iż od dwóch dni karmią nas takiemi oklepanemi frazesami, że trudno je strawić. Zdaje mi się, pan nie jesteś adwokatem?

— Nie, panie, ja jestem człowiekiem honoru, i...

— Jestżeś pan tego pewnym? — przerwał mu major.

Szmer oburzenia, był odpowiedzią na te słowa.

— Czy pan wiesz, że wątpliwość ta jest nową dla nas obelgą?

— Ja bynajmniej nie miałem zamiaru wyrażać jakiejś wątpliwości — odpowiedział pan Verdoc — poprostu zapytuję się tylko. Pierwszy raz w życiu powołany do spełniania ważnych obowiązków sędziego przysięgłego i daleki od myśli zdeptania nogami tego świętego posłannictwa, jak przypuszczałeś pan przed chwilą, truchleję owszem, wobec ogromu odpowiedzialności włożonego na mnie z woli organów sprawiedliwości ludzkiej. Los żyjącej istoty oddany jest na moją wolę, i przed oddaniem jej skrępowanej w ręce kata zapytuję się sam sieb e, czy ja więcej wart jestem od tego Piotra Granger, i czy pan, co jest rzeczą bardziej jeszcze wątpliwą, lepszym jesteś odemnie?

Nastąpiła głęboka cisza. Każde słowo majora przenikało do głębi sumień sędziów przysięgłych, jak siekiera drwala wdziera się w pień drzewa sprawiając w wnętrzu jego głębokie szczerby.

— Pan major zapatruje się na rzeczy ze stanowiska filozoficznego — przemówił nakoniec jeden z sędziów, niezbyt pewnym głosem.

— Zgadłeś pan, panie Cerneau.

— Miałżebym mieć ten zaszczyt być znanym panu? — zapytał przysięgły, głosem mniej jeszcze stanowczym.

— Cokolwiek.

Z piersi sędziego uleciało westchnienie prawdziwego zadowolenia.

— O tyle jednak — ciągnął dalej major — aby wiedzieć, że chociaż opłacasz pan patent bankierski, wolisz jednak zajmować się pokątną lichwą. Wiem również, że nie dalej jak trzy lub cztery lata temu, pewien zacny ojciec rodziny, wskutek odmówienia przez pana prolongacyi wekslu, o którą błagał cię na kolanach, w łeb sobie wypalił wśród pańskich worków napełnionych złotem.

Pan Cerneau nie odpowiedział ani słowa; cofnął się w najciemniejszy kąt sali, ocierając chustką zimny pot spływający mu po czole.

— Czyśmy się tu na to zeszli, żeby odegrać drugi akt *Pamiętników szatana?* — zapytał nagle jeden z przysięgłych, widocznie zniecierpliwiony.

— Nie znam tego dramatu — odpowiedział major — ale radziłbym panu, panie de Bardine, abyś starał się uspokoić rozdrażnione swe nerwy.

— Panie Vernoc! ja nie znoszę impertynencyi, i umiem je skarcić!

— A w jaki sposób, jeżeli wolno zapytać?

— Jeżeli obraża mnie jaki prostak, każę zbić go moim ludziom; jeśli zaś człowiek umiejący władać szpadą, czynię mu zaszczyt osobistego spotkania.

— Za taki zaszczyt najuprzejmiej dziękuję.

— Bo jesteś pan tchórzem! Mogłem się był tego łatwo domyśleć.

— Nie dla tego żebym miał być tchórzem, jak to raczyłeś się pan dowcipnie wyrazić; ale dlatego, iż mam tyle rozumu, że nie przyjąłbym pańskiego wyzwania. Bo pan, panie de Bardine, nie zabiłbyś mnie w pojedynku; pan byś mnie zamordował!

— Co to ma znaczyć? — zawołał pan de Bardine, blady jak ściana.

— Czyś pan już zapomniał o swoim pojedynku z panem de Sillac? o pojedynku bez świadków, jeżeli jestem dobrze poinformowany? Zanim przeciwnik pański zajął stanowisko, pan zdradliwie wpakowałeś mu szpadę w samo serce. Przyznaj pan, że to wcale nie jest zachęcającym precedensem?

Inni sędziowie, stojący obok pana de Bardine mimowolnie oddalili się od niego.

— Podoba mi się to oburzenie — szydził nielitościwie major — zwłaszcza panu, panie Darin, jest ono bardzo do twarzy.

Pan Darin rzucił się jak koń arabski, ukłuty ostrogą.

— Jakąż podłość masz mi pan do zarzucenia? — zawołał stłumionym głosem.

— Żadnej — jeżeli co, to najwyżej jaki grzeszek maleńki, który może nawet w dobrem świetle przedstawić pana w oczach świata. Pan de Bardine morduje swoich przyjaciół, pan poprzestajesz na ich zniesławianiu — rozmaite są gusta.

— Ani słowa więcej, mości panie!

— I dla czegoż miałbym milczeć? Owszem, niechaj wszyscy wiedzą, jak pan oszukujesz poczciwego pana Simon, którego dom jest pańskim domem, kieszeń — pańską kieszenią, że...

— Majorze! — przerwał jeden z przysięgłych, milczący aż dotąd — postępowanie pańskie jest nikczemne!

Najwyżej może, niedelikatne — kochany panie Calfat. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Jest, co prawda, pomiędzy nami jeden nikczemnik, ale jest to ten co podpalił swój dom w pół roku po zabezpieczeniu go do wysokości potrójnego rzeczywistego szacunku, w czterech towarzystwach tak nierozsądnych, że wypłaciły ubezpieczoną wartość bez poprzedniego zbadania przyczyn pożaru.

Pan Calfat wydał okrzyk stłumiony i jak inni ukrył się w cieniu.

— Ale pan sam kto jesteś, że tak bez miłosierdzia śmiesz sądzić winy i zbrodnie bliźnich swoich? — zagadnął majora inny znów sędzia, stając przed nim i mierząc go od stóp do głowy wzrokiem pełnym pogardy i nienawiści.

— Kto ja jestem, panie Paron? Człowiek umiejący ocenić wysokie zdolności pańskie w robieniu wolty i innych tym podobnych sztuczek, ale którego z pewnością nie będziesz pan miał nigdy przyjemności oporządzić, bo nie jest tak głupi, aby z panem do gry miał usiąść.

Pan Peron odskoczył przerażony jakby bezdenna przepaść otwarła się przed jego nogami.

VII.

Przerażające wrażenie powyższej sceny, zwiększały jeszcze wzrastające z każdą chwilą ciemności. Głos majora brzmiał metalicznym dźwiękiem, przenikając do głębi serc obecnych, i budząc w nich bolesne lub przykre odgłosy. Pięciu przysięgłych, których tak śmiało zdemaskował, stali na uboczu jakby kamienne posągi; inni, czy to z przerażenia, czy równie też nie zupełnie spokojni na sumieniu, zachowywali głębokie milczenie.

Major zaśmiał się ostrym, urywanym śmiechem. Rzekłbyś, że to syk żmii.

— I cóż, wielce szanowni koledzy — przemówił — czy ten biedny Piotr Granger jeszcze wydaje się wam nie zasługującym na żadne względy? Przyznaję, że popełnił on błąd, błąd, któregobyście panowie na jego miejscu nie dokonali i na to zgoda. Cała jego wina w tem polega, że nie potrafi tak jak wy panowie, ukrywać zbrodni swoich pod maską hypokryzyi i cnoty. — Nie zapominajcie jednak, że to gbur nieokrzesany. Gdyby po zabiciu swej żony, urządził był dla niej pogrzeb, zakupił na wieczne czasy miejsce na grób, wystawił elegancki nagrobek z białego i czarnego marmuru, kazał wyryć na nim czuły napis złotemi literami — wówczas i wy panowie, i ja, i sędzia śledczy, prokurator i żandarmi, wszyscy słowem, bylibyśmy zbudowani tak tkliwymi dowodami miłości małżeńskiej, a Piotr Granger uchodziłby za najuczciwszego człowieka w świecie i bezwątpienia, znajdowałby się tu, w naszem gronie. Gotów bym nawet założyć się, że wielce szanowny pan Norbec w zupełności podziela moje zdanie.

Pan Norbec zatrząsł się konwulsyjnie.

— Nieprawda — szepnął — to fałsz niegodny! ja jej nie otrułem. Eliza umarła na suchoty.

— Masz pan słuszność — odparł major — i to mi właśnie przypomina pewną okoliczność, o której byłbym zupełnie zapomniał. Świętej pamięci pani Norbec umarła rzeczywiście... bezpotomnie, w pięć miesięcy po zapisaniu panu całego swego majątku. — Ale uspokój się pan; stara to już historya: służy panu prawo przedawnienia.

Major zamilkł; nastała ponura cisza; noc ciemna zaległa salę. Nagle trzask odwodzonego pistoletu przerwał milczenie; w tejże chwili zaświecił błysk przelotny, ale strzał nie padł; spalił o na panewce.

— Ha, ha, ha! przepysznie! wybornie! doskonale! — zawołał major zwracając się do seniora — nie wiem doprawdy, jak mam panu podziękować za tyle uprzejmości! Pan jeden z całej bandy byłeś reprezentantem uczciwości,

i oto — dla przypodobania się mnie — popełniasz pan, wśród nocy, w domu zamieszkałym, zamach usiłowanego morderstwa przeciwko mojej osobie, zamach, który nie powiódł się z przyczyn niezależnych od pana — stanowi to zbrodnię przewidzianą w kodeksie karnym.

Major przestał się śmiać, zadzwonił, kazał podać światło i rzekł z największą powagą do sędziów przysięgłych:

— Spodziewam się, panowie, że nie macie ochoty spędzenia tu całej nocy; kończmy prędzej, bo już bardzo późno.

VIII.

W dziesięć minut później senior wygłosił imieniem ławy przysięgłych werdykt uniewinniający, i Piotr Granger został uwolniony wśród nieopisanego wrzasku i złorzeczeń tłumu, który takiemi obelgami obrzucał sędziów przysięgłych, iż przewodniczący widział się w konieczności sprowadzenia oddziału wojska dla wypróżnienia sali.

Jakby postanowił sobie doprowadzić skandal do ostatnich granic, major podszedł do ławki oskarżonych, wziął pod ramię Piotra Granger i ręka w rękę wyszli razem bocznym korytarzem.

Od owej chwili nie widziano już więcej ani jednego ani drugiego w naszem mieście i całym departamencie.

Tej samej nocy szalała straszna burza z grzmotami i piorunami. Wszystkie pola i ogrody zniszczył grad wielkości gołębiego jajka, a piorun uderzył, między innemi, w wieżę kościoła świętego Patrycego, na której strzaskał wielki krzyż z pozłacanego żelaza.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Maleńka Madona w czerwonej sukni klęczy w stajence przy żłobie w Trybunie Florenckiej, i śmieje się do dzieciątka leżącego w żłobie. Matka rozwarła ręce z uciechy, dzieciątko wyciąga rączki do Mamuni, a noc tak dziwnie przejrzysta, że wszystko widać, choć wyraźnie ciemno. W Dreźnie wielki obraz przedstawia podobną scenę. Pastuszkowie przyszli do stajenki uczcić Chrystusika, i klękli przed nim, a Marya śmiejąc się i strojąc usta do pocałunku pokazuje im malatkie nowo narodzone dzieciątko. Święty Józef stoi przy tem i śmieje się — a kolęda gotowa — i wielka radość jest wśród ludzi. Dziecko Dobrej Nowiny promienieje wśród nocy jako Dar najcenniejszy dla ludzi, i światło cudowne lśni słonecznie na młodej twarzy pastuszków i starej twarzy świętego, a potem, w głębi gubi się wśród przeźroczystej dziwnie nocy. Radość wesełna, miłośna, niewinna, dziecinna, panuje wśród owej cudownej zorzy, i my patrząc stajemy się dziećmi, tulimy się jak dzieci do mamy i taty, do Boga, do istot wyższych, świętych opiekuńczych, co nas bronią przed światem, i co w słabości naszej czynią nas potężnymi królami wesela. Tu słodycz Rafaela rozpromieniona dziecinnym uśmiechem.

A już całkiem tylko żartem dziecinnego wesela i owej dziecinnej swobody, co świat cały przerabia na niedzielne pole zabawy, co czas przemienia w jedno wielkie święto tak prawdziwe, jak te, które dzieci znają, całkiem żartem królewskiej swobody śmiejącego się dziecka co się bawi, poślubienie świętej Katarzyny w *Salon Carré* w Luwrze w Paryżu. Bozia ze swoją Mamą bawią się w niebie tak jak dzieci się bawią na ziemi. Malutka Bozia całkiem rozebrana, niby ślub bierze z świętą Katarzyną, dziewczyną dwunastoletnią, klęczą przed Madoną, a podrostek Jan Chrzciciel śmieje się z tego. Już to i mama się śmieje i panna młoda, a tylko Bozia bardzo zajęta i zakłopotana, bo pierścionka nie może włożyć na paluszek dziewczęcia. Igraszka to dziecinna, cudownie malowany całus pełen wdzięku.

Nie tak niewinne i czyste pogańskie obrazy Coreggia. W tym samym Salon Carré leży wcale nieskromnie i zmysłowo, na pół w cieniu drzewa, na pół w słońcu, zuchwale i nieprzyzwoicie skrócona Antiope — w stroju jak najzupełniej pierwotnym, i śpi. Do niej podkrada się Satyr filut wielki, i palec przyłożył do ust, a oczy mu się iskrzą. Oj ten satyr ma coś złego na myśli.

Z poza krzaków wygląda uśmiechnięta Venus w Pałacu Lichtenstein w Wiedniu i na nagiem ciele jej igra światło roztaczające wszystkie cuda karnacyi. Ona przycupnęła, a w głębi w cieniu śpi amorek, wśród owej przeźroczystej ciemności Corregia. W Belwederze Wiedeńskim zwisła Ino w powietrzu, i całuje namiętnie obłok z którego się wychylają kształty Zewsa. I to żarty, ale nie dziecinne już. To żarty zuchwałe studenta okraszone śmiechem wesołym, cudownem słońcem i cudowniejszym cieniem. Uśmiechnął się Correggio raz jak dzieciątko słoneczne, potem jak Satyr figlarz — a po nim odumarła raptem sztuka w Rzymie. — Nie wiedzieli ludzie coby jeszcze mieli malować.

Gdy bracia Caracci, Augustyn, Hanibal i Ludwik przedsięwzieli u schyłku szesnastego wieku założyć szkołę dziedziczącą penzel po uczniach Rafaela, nie mieli nowego kierunku któremu by służyć mogli, nie mieli do wypowiedzenia niewypowiedzianej myśli, i poprzestali przeto na bezmyślnej pracy przerabiania w zaletach umarłych już mistrzów, chcąc połączyć z sobą rzeczy niedające się pogodzić: koloryt Wenecki i surowość Florentyńską, grozę Michała Anioła i wdzięk Rafaela, tajemniczy mistycyzm Leonarda i cudną wesołość Coreggia. Oni i współczesny Vasari, byli to profesorowie raczej niż artyści; nie w naturze, nie w piersi swojej szukali źródeł natchnienia, nie pytali się otaczającego społeczeństwa o to, czy nie chowa własnego ideału, jedno podźwignęli przytłaczające brzemię rodzącej się estetycznej erudycyi, i ciężko malowali akademickie studya, i mdle naśladowania wielkich dzieł tych, co niedawno pomarli.

Społeczeństwo włoskie było u schyłku szesnastego wieku pod zaklęciem wielkiej epoki której już nie rozumiało, a od której nie śmiało się odwrócić. Odrodzenie przeminęło nieodwołalnie. Swobodne rzeczypospolite demokratyczne upadły pod mieczem obcych monarchów i domowych tyranów, i zamiast wrzasku mów rynkowych słyszano tylko szepty przedpokojowe dworskiej arystokracyi. Papiestwo, które się przez chwilę jedną uśmiechnęło do pogańskiego piękna, cofało się przerażone przed podwójnem widmem niedowiarstwa i reformacyi, i wdziało nazad kaptur mnisi, a po zuchwałym Ariośkie nastał sentymentalny Tasso. Ludzie się zmienili, ale jeszcze pełni podziwu dla chwały ojców, nie śmieli się przyznać sami przed sobą do tego, że się zmienili; mówili pokornie, że niedorośli ojców, ale kłamali jeszcze czas jakiś, że stąpali w ich ślady. Naśladowali tedy zewnętrzny pozór ich czynów, ale w naśladowaniu tem nie było treści. Maska była jeszcze podobną do żywej niegdyś twarzy ojców, ale twarz pod maską była inna wcale. A dwoistość ta nic potężnego dźwignąć nie mogła, nie mogła trwać długo; i wreszcie runęło i w życiu i w sztuce pozorne podobieństwo z przeszłością, i wyłonił się nowy świat wyobrażony także i przez nową sztukę.

Jeden z braci *Coracci*, Ludwik, ten który najmniej może miał talentu, wstąpił pierwszy na drogę, po której sztuka miała odtąd kroczyć, malując kilkakrotnie dziwne obrazy przedstawiające zawsze jeden i ten sam przedmiot. Są to płótna duże, szare, jakby z umysłu zakopcone, wśród których porusza się konwulsyjnie jedna tylko postać w mniszym habicie, klęcząca, albo siedząca przed trupią głową.

Trudno o coś bezbarwniejszego, trudno o coś coby wzrok bardziej zasmucało. Szarość popielata przypomina zimowy zmrok pozbawiony pociechy ogniska, trupia głowa na ziemi przypomina zagrobową zgniliznę, a wychudłe, nieumyte, niezaczesane ciało mnicha przyobleczonego w szarą albo burą włosiennicę przypomina chorobę i cierpienie. Posty długie nawet oczy w błąd wprawiły, wykrzywiły usta i pozbawiły głowę wyrazu myśli ludzkiego pokoju. Grek albo człowiek z odrodzenia byłby się ze wstrętem odwrócił od tego bezcielesnego malowania — a ludzie współcześni Karakczym i Piusowi świętemu, przyjęli je z pochwałą i zadowoleniem.

Mnich ten był hasłem naokoło którego stawało pół ludzkości, był odpowiedzią katolicyzmu na zarzut protestantów twierdzących, że Rzym odrodzenia stał się napowrót pogańskim. Obrażał zmysły ale odpowiadał ideałowi ludzi i pokoleń wierzących w skuteczność zasługi nagromadzonej przez męczarnie dobrowolne świętych. Katolicy tedy mnicha tego wywiesili jako nową chorągiew, i mnich ten miał być ojcem tysiąca podobnych obrazów malowanych w Hiszpanji w siedemnastym wieku. I we Włoszech nie zeszedł bezpotomnie, ale Rzymscy artyści siedemnastego wieku nie mogli zupełną brzydotę stale ukochać wobec arcydzieł starożytności i odrodzenia, i musieli wejść na pośrednią drogę, w której królował Gwido Reni po dziś ulubieniec większej niewiast połowy.

Dzieła jego rozpowszechnione prawie po całym świecie, przypominają trochę dzieła nowo-Ateńskiej szkoły wykonane za dni Hadryana, i głównie przedstawiają słabość lub niemoc pięknych zresztą istot. Już święty Jan Chrzciciel w *Madona del Arena* w Padwie niezupełnie zdrów i wcale nie silny. Piękne to pacholę trapione duchem bożym, i nękane postami młodości, siadło nagie prawie wśród pustyni, każąc i nawołując podniosło niemocne ramię i spalonemi usty a gorączkowo lśniącym wzrokiem zmusza cię do współczucia. Wdzięku lotnego tu nie masz, bo pacholę nie garnie się do ciebie z lubym uśmiechem, nie masz grozy doskonałego piękna ni Rafaelowskiego spokoju. Ale opalone pacholę z lekka niby litość budzi. Patetyczność wstąpiła znów po wielu wiekach w dziedzinę sztuki wróżąc i przepowiadając, że znów nastanie na świecie czas wielkich poetów tragicznych—że nastał już nawet — i że skończone najświetniejsze pęzla panowanie.

I patetyczność ta powodem łaski, którą się Gwido Reni cieszył u współczesnych, łaski, którą mu dziś jeszcze tak hojnie panie dają. Społeczeństwo pozbawione zdrowia, wolności i siły politycznych nadziei, zamknięte w budoarze weneckiej awanturnicy, albo w wonnem oratoryum światowego spowiednika — społeczeństwo ówczesne włoskie, które nie znało nawet wielkich wzruszeń wojny i dyplomacyi, i którego jedyną rozrywką były uroczystości i balety dworskie, społeczeństwo takie, powiadam, mdlało, podobne do damy wielkiego świata pozbawionej i zdrowia i domowego szczęścia, — i podobnie jak dama taka, tak społeczeństwo ówczesnej Italii nie znało nawet ożywiającego bodźca trosk o chleb powszedni wśród powoli chylącego się ale wielkiego jeszcze dostatku, wśród pałaców marmurowych, pod wiecznie łagodnem niebem. Miało spokoju za wiele i było nierade spokojowi temu, i tęskniło samo nie wiedząc za czem. Więc chętnie współczuwało z owemi Magdalenami i Chrystusami Gwida. (C. d. n.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

IV.

(Ciąg dalszy.)

W podobnej jak Dania pozycyi znajdują się dwie jej siostrzyce: Szwecya i Norwegia. Nie mają się czego obawiać Ameryki, bo z pewnych czysto lokalnych względów nie wyrwie im z ręki ich przemysłu. Szwecya to kraj gimnastyki i zapałek. Norwegia to ojczyzna śledzi i tranu. Pierwsza produkuje jeszcze na wielką skalę żelazo, którego bogate posiada kopalnie i drzewo, którego niezmierzone posiada lasy. Słynne są na cały świat parkiety szwedzkie i szwedzka stal. Nie ma także w Europie kraju, w którymby drzewo było tak tanie jak w Szwecyi, co głównie temu zawdzięcza, że posiada w stosunku do ludności więcej kolei żelaznych, niż nawet Belgia, a więcej niż Szwajcarya znakomitych dróg bitych, a raczej kutych w skałach. Tym sposobem łatwo i tanio sprowadzać może ze swych dziewiczych puszcz drzewo do głównych ognisk przemysłu, gdzie je przerabia na meble i parkiety, a z odpadków robi zapałki. Fabrykacya zapałek datuje w Szwecyi od 1845 r. W tym roku założono pierwszą fabrykę owych *tändstickorów utan svafel och fosfor* w Jonköpingu, a od tego czasu doprowadzono fabrykacyą ich do takiej maszynowej perfekcyi, że już naprawdę wyżej wyrobionego mechanizmu wyobrazić sobie nie można. Dzisiaj miliardy pudełek tych zapałek rozsyła Szwecya po całej kuli ziemskiej, nawet do Chin i Japonii, na brzegi Afryki i na wyspy australijskie, a cyfra eksportu tego fabrykatu wynosi rocznie kilkanaście miljonów koron szwedzkich.

Norwegja bogata jest tak jak Szwecja w drzewo, fabrykuje tyleż co ona parkietów i zapałek, mniej jednak posiada żelaza i innych minerałów, za to więcej trudni się połowcm śledzi. Każdy czternasty mieszkaniec Norwegii płci męskiej jest z zawodu rybakiem i łowi rocznie blisko na 100 złr. śledzi, które u naszych kupców zmieniają narodowość i nazywają się holenderskiemi. Prawda że śledzie należą do wędrownych istot. Dopóki Ameryka nie wynajdzie parowej maszyny do łowienia odrazu całych łufców śledzi i całych sta! wielorybów, dopóty Norwegja konkurencyi jej obawiać się nie potrzebuje.

Przemysł Austrji — tej ukochanej Austrji, która w wyobraźni niektórych naszych ideologów ma dla nas wydobywać kasztany z pieca moskiewskiego — stoi na tak niskim stopniu rozwoju, że konkurencyi z Ameryką obawiać się nie może po prostu dla tego, iż do konkurencyi nie stanie. Szkła czeskie lepiejby zrobiły, gdyby się nigdy nie pokazywały w towarzystwie szkieł francuskich, włoskich lub angielskich; berneńskie fabryki wyrobów wełnianych egzystują jedynie dzięki cłom ochronnym, które na wszystkich obywateli Austrji nakładają podatek w tym ceiu, aby mogli majątki robić Niemcy berneńscy; drzewo, ważny czynnik eksportu, wywozi się głównie jako surowiec; [1]) a produkcya wyrobów górniczych zaledwie do 100 mil. złr. dosięga. Jest jednak pewna gałęź przemysłu, która w Austryi powstała, w Austryi się rozwinęła, w Austryi do perfekcyi doprowadzoną została i stanowi charakterystykę austryackiej wystawy. Są to gięte meble. Stolarz Michał Thonet wpadł w 1835 r. na pomysł ich fabrykowania. Uzyskał patent i zaczął wyrabiać. Zrazu jednak szło mu jakoś ciężko, ludzie przyzwyczajeni do ciężkich stołków i foteli nie dowierzali tym lekkim krzesełkom; — i dopiero wystawa londyńska 1871 dodała bodźca tej fabrykacji. Dzisiaj liczą w Austryi kilkadziesiąt fabryk giętych mebli, a z tych niektóre jak np. dom Thoneta lub Kohna wyrabiają dziennie parę tysięcy krzeseł.

Tem czem dla Austryi są gięte meble, tem dla Włoch jest gięte szkło. Wyrabiają z niego kapelusze, krawaty, czepki, kokardy, — wszystko to jest tak giętkie, tak zgoła nie kruche, że można zwinąć i schować do kieszeni, a potem rozwinąć i używać według przeznaczenia. Wyroby te są — jak czytelnik się domyśla — tkaniną splecioną z nieskończenie cienkich nici, wyciągniętych ze szkła, w którem soda zastąpiła potaż. Ztąd owa giętkość.

Oprócz tego gatunku, Włochy wyrabiają jeszcze mnóstwo innych gatunków szkła, zwłaszcza w Wenecyi, w której starają się teraz dźwignąć z upadku dawną a tak na swe czasy sławną fabrykacyą szkieł chrześcijańskich i murryńskich (*verres chretiens et verres murrhins*). Sama Wenecya figuruje z kwotą kilkunastu miljonów franków w tej gałęzi przemysłu. Nadto usiłują Włosi zająć w ceramice to poważne miejsce jakie zajmowali niegdyś. Ich wyroby ceramiczne, zwane fajansami od miasta Faenza, gdzie się głównie fabrykowały, albo majolikami od wyspy Majorki, trzymały niegdyś palmę pierwszeństwa w Europie. Upadły zaś i zarzucone zostały dopiero wtedy, gdy Bottger w 1709 r. wykrył szukając złota, sposób robienia porcelany. Odtąd porcelana zaczęła wchodzić w modę, rugując z użycia fajans i majoliki. Atoli porcelana jest za drogą dla niższych warstw społecznych, które jednak w miarę rozwijania się dobrobytu i gustu, zaczynają już spoglądać z ukosa na dawne swe proste gliniane misy i z upodobaniem zwracają się ku fajansom. Dla tego to odżyły Włoskie fabryki fajansów i doszły już dziś do takiego znaczenia, że konkurują z francuskiemi na rynkach afrykańskich, cywilizując nakrycia stołowe dzikich Beduinów. Włochom tego jednak nie dosyć; pragną one we wszystkiem dorównać pod względem ceramiki dawnej swej uczennicy — Francyi, i dla tego w pobliżu Florencyi założyli niedawno w Doccia fabrykę porcelany na wzór Sewrskiej. Obecnie w Italji jest miarą patryotyzmu stopień zachwytu, jaki budzi Dokijska porcelana, — która wszakże — między nami mówiąc — jest strasznie szpetną.

Zresztą, nie możemy mieć za złe Włochom, że admirują swoję porcelanę, bo czemżeby doprawdy zachwycali się w dziedzinie swego przemysłu? Oprócz owych szklarskich i ceramicznych wyrobów, dalej oprócz wyrobów mozaikowych, które ładnie na wystawie wyglądają, ale mało brzęczącego pożytku krajowi przynoszą; i oprócz wysoko cenionych artystycznych mebli; nie fabrykują oni zresztą nic zasługującego na uwagę, ani pod względem jakości ani pod względem ilości. W eksporcie ich, wynoszącym miljard 200 milionów lir, przemysł figuruje ze skromną sumką 80 miljonów, to jest tyle co Dania za samą mąkę i masło pobiera. Resztę eksportu z Włoch stanowią produkta rolne, zboże, wina, owoce, kopaliny, słowem rzeczy, które natura — jak wiadomo — pożycza ludziom a nie daje, i które ciągle, co roku eksportowane, wyczerpią się w końcu zupełnie. A wtedy — przypuszczając, że warunki się nie zmienią na gorsze, co właściwie jest niemożebnem, — w bilansie handlowym Włoch figurować będzie tylko ta skromna sumka 80 mil. eksportu wobec przeszło miljarda teraźniejszego importu. Naprawdę perspektywa wcale nieświetna!

Mniej więcej taka sama perspektywa czeka także Hiszpanją, ojczyzną inkwizycyi, hidalgów *i pronunciamentów*. Różnica tkwi tylko w tem, że Hiszpania jest nieskończenie bogaciej uposażona od przyrody, aniżeli Włochy, — co więcej, jest najbogatszym krajem w Europie, prawdziwym Benjaminkiem natury. Wyobrazić sobie nawet trudno, jakie to nieskończone skarby spoczywają w jej ziemi. Węgiel (w ośmiu basenach, do których dną nie dostano się dotąd), żelazo (w rudach tak bogatych, że dających 73%), ołów, cynk, cyna, miedź, rtęć (do niedawna, przed wykryciem rtęci w Kalifornji, kopalnie hiszpańskie w Almadenie były jedynemi na calej kuli ziemskiej), wreszcie srebro. Jednego złota brak tylko Hiszpanii, ale bo też starożytni, poczynając od Fenicyan a kończąc na Rzymianach, za nadto bacznie szukali rud tego metalu, i wyczerpali je tak dalece, że dzisiaj eksploatacya złota opłacać się w Hiszpanji nie może[1]). Ale co dzisiaj po złocie, w wieku węgla i żelaza, tych dwóch najważniejszych postulatów dzisiejszego przemysłu. Owoż Hiszpania posiada węgiel i żelazo, a przecież przemysłu nie ma. Dawne np., tak sławne, pełne życia i ruchu Toledo, dziś żyje tylko wspomnieniami. Jednakże bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy nie wspomnieli o przemyśle bawełnianym Katalonji. Istnieje tam kilkanaście fabryk drukowanych perkali, których koloryt jest tak świetny, tak żywy, tak iskrzący się niemal, że przypuszczać każe, że ci fabrykanci chyba z tej samej palety brali swe farby, co sławni mistrze hiszpańscy Fortuny, Rico i Mardrazzo, których obrazy tyle wrzawy wywołały na tegorocznej wystawie. Atoli wyroby bawełniane zajmują w eksporcie hiszpańskim nieskończenie podrzędne miejsce. Na głównem tak jak we Włoszech figuruje wino (około 150 miljonów *pesatosów* eksportu!), owoce, zboża, i naturalnie kopaliny, dostarczające pesatosów więcej nawet niż wino, lubo nie eksploatowane jeszcze na taką skalę, na jaką dałyby się, gdyby Hiszpania więcej poświęcała im czasu i pracy niż swym *pronunciamentom*.

Zamykając rzecz o Hiszpanji, nie godzi się przecież nie wspomnieć o korkach, o owych sławnych

---

[1]) Przecie z Galicyi wywożą stosami drzewo jako surowiec do Francyi, z którego tam wyrabiają meble i fortepiany, które my potem sprowadzamy, opłacając tym sposobem cło i dwukrotną wędrówkę naszego produktu.

katalońskich korkach, które dosztukowane do nóżek naszych pań i stanowiąc z niemi jednolitą całość w bucik wtłoczoną, tyle wdzięku tej całości nadają. Gdyby jednak wszystkie na kuli ziemskiej noszone w bucikach korki były istotnie rodem z Katalonji, to zaprawdę kraje te nie potrzebowałyby zajmować się przemysłem bawełnianym. A przecież oprócz szewców, jeszcze i handlarze win roszczą dla siebie, a raczej dla swoich butelek do Katalonji pretensye. Tu już biedaczka wprost sprostać wymaganiom nie może i z bolem serca spoglądać musi jak korki jej, — których bądź co bądź dość dużo wysyła — za granicami Hiszpanji przybierają dziwną własność rozmnażania się bez granic.

Gdy mowa o Hiszpanji, samo przez się nasuwa się na myśl Portugalja. Zdawałoby się że te dwa imiona są tak samo zrośnięte ze zobą grzbietem jak i reprezentowane przez nie kraje. A jednakże w traktacie o przemyśle jakoś dziwnie wygląda wzmianka o Portugalji, tak dziwnie, że mimowolnie przypomina znany dowcip Rzewuskiego. Był jednak czas kiedy Portugalja więcej znaczyła niż najpotężniejsze dzisiejsze mocarstwa. W czternastem a nawet piętnastem stuleciu ludy Afryki, Azji, były przekonane, że w Europie istnieje tylko jedno potężne mocarstwo, a tem jest Portugalja; wszystkie zaś inne płacą mu haracz i otrzymują królów z ramienia wielkiego Lizbońskiego sułtana. Dzisiaj zaś Portugalia spadła strasznie nisko, jest czemś nieskończenie małoznaczącem. Gdyby jeszcze miała ruletę, mogłaby kompetować do tej sławy jaką posiada Monaco. Że zaś jej nie ma, zawdzięcza przeto głównie swoim winom, nieco żelazu i ołowiu, a trochę oliwie, iż dotąd nie zapomnieli jeszcze jej nazwiska i sprzęgają je z nazwiskiem Hiszpanji, którą ona z całego serca nienawidzi. Naturalne następstwo zbyt bliskich sąsiedzkich stosunków.

Z Lisbony odbyć teraz musimy tę samą podróż, którą przed kilku laty odbył jeden z naszych magnatów. Znajdował się on w Lizbonie, kiedy wtem otrzymał telegrafem zawiadomienie, że raczono i jego imię wpisać w poczet gości mających się zaprosić na bal do białego cara. Wiedzieć, że za dni parę będzie bal w Zimowym pałacu, że na tym balu można się znajdować i oglądać oblicze carskie, że nadewszystko można dostąpić najwyższego zaszczytu i stać się bodaj na chwilę przedmiotem, na którym spocznie oko carskie; a tu tymczasem znajdować się w Lizbonie, o tysiąc mil i być do tego arystokratą, to jest człowiekiem, w którego sercu — jak twierdzą psychologowie — znajduje się zawsze nieco pierwiastków lokajskich! Co za okropna pozycya! Ale na szczęście była rada. Magnat nasz posiadał jeszcze spory szmat ziemi na kresach dawnej ojczyzny. Ziemia ta, jako kresowa, zraszaną była co stulecia krwią jego przodków i posoką wrogów. W trzech czwartych częściach znajdowała się już w zastawie u żydów, ale czwarta część była jeszcze wolną. Zastawić i ją aby być na balu u cara — toć przecie tak proste. W kilka godzin potem, nasz hrabia za cenę 30.000 fr. pędził umyślnym pociągiem z Lisbony do Petersburga.

Nas ta podróż nie będzie tyle kosztowała. Ale bo też nie pójdziemy do cara, lecz do instytucyj stokroć od niego ważniejszych: do fabryk i zakładów przemysłowych. Na wstępie wszakże musimy już to ważne zanotować spostrzeżenie, że powietrze sprzyjające rozwojowi carów trująco wpływa na fabryki. Botanicy znają takie rośliny, które nigdy na jednym gruncie, obok siebie, rozwijać się nie mogą. Gdzie się przyjmie jedna i rozpleni, tam drugiej za nic w świecie nie zasiejesz; chyba, że tamtą wytępisz wprzódy. Takiemi roślinami na tle społeczeństw jest caryzm i przemysł. Obok siebie nie rozwijają się nigdy równosilnie. Jeden z nich musi być zawsze dominującym, a drugi wtedy jest zaledwie tolerowanym. Charakterystyką ich jest nadto to, że przemysł wymaga dobrze i starannie uprawionego gruntu, gdy tymczasem caryzm, chwast pospolity, rodzi się na byle jakiej ziemi. Właśnie im ziemia jest bardziej dzika, tem on rozrasta się potężniej. Z czasem, w miarę zwiększania się uprawy społecznej roli, caryzm traci stopniowo korzeń za korzeniem, od dymu fabryk schną jego konary, on więdnieje i znika zupełnie. Każda zaś piędź ziemi, którą on traci, oddawana jest zaraz pod uprawę przemysłu. W Stanach Zjednoczonych caryzm istnieje zaledwie w aspiracyach jednej czy dwóch jakichś sekt nielicznych; tam też przemysł najbogatsze wydaje plony. W Rossyi naodwrot: zaledwie szczupłe grono najwykształceńszych osób wolne jest od caryzmu; reszta zaś jej mieszkańców hołduje mu i z serca i z umysłu. Tam też przemysł nie kwitnie wcale. Na tej olbrzymiej płaszczyźnie, Rossyą zwanej, a zajmującej na powierzchni ziemi ani mniej ani więcej tylko dwadzieścia parę milionów kilometrów kwadratowych, zaledwie tu i owdzie znajdziemy komin fabryczny, i te przeważnie kominy z rzędu przemysłu rolniczego, jak n. p. cukrownictwa, które rozwinęło się dość imponująco na całem dolnem porzeczu Dnieprze. Od Kijowa, który jest ogniskiem fabrykacyi cukru, musimy parę set mil jechać na północ zanim znowu spotkamy się z kominami fabrycznemi w guberniach Jarosławskiej, Moskiewskiej i Tulskiej. Ale cóż kiedy w ostatniej n. p. głównie fabryki rządowe broni i amunicyi stanowią życie przemysłowe. Oprócz nich istnieją jeszcze w Tule jedyne na całą Europę fabryki samowarów, wyrabiające rocznie na kilkanaście mil. rubli; jednakże nie jest to przemysł właściwy fabryczny lecz raczej warstatowy. Amerykanie postawiliby go inaczej i inny też ciągnęliby z niego plon. W Jarosławskiej zaś i w Moskiewskiej gubernii rozwinęły się fabryki sukien i w ogóle wyrobów wełnianych; stoją wszakże na stanowisku bardzo niskiem, co głównie temu przypisać należy, że Rosya odgraniczyła się od całego świata wysokim płotem ceł ochromych. Wskutek tego fabryki jej, zabezpieczone protekcyą ceł i nie wystawione na konkurencyą z wyrobami zagranicznemi, wyrabiają i licho i drogo. Z powodu, że wyrabiają licho, nie mogą nigdzie po za granicami Rosyi (jak n. p. na Wschodzie) wytrzymać porównania z wyrobami francuskiemi, angielskiemi, nawet austryackiemi. Tym sposobem mają zamknięte przed sobą rynki zagraniczne. Z powodu zaś, że wyrabiają drogo, nie mogą sobie otworzyć wielkiego zbytu we własnym kraju. Lud woli przyodziewać się w liche tkaniny, własnoręcznie w zimie wyrobione, aniżeli w drogie a nie o wiele lepsze tkaniny fabryczne.

Z tych ceł ochronnych, któremi Rosja się odgraniczyła od Europy, w nadziei że tym sposobem rozwinie wewnętrzny przemysł, odnosi zyski właściwie jedno tylko królestwo Polskie. Nieporównanie wyższy poziom oświaty ludowej, pewien już istniejący zawiązek przemysłu, sąsiedztwo zagranicy, cywilny kodeks Napoleoński, wszystkie te czynniki wpłynęły na to, że przemysł, wzięty przez rząd zapomocą ceł w protekcyą, zamiast rozwinąć się w głębi Rosji, rozwinął się w Polsce, to jest właśnie tam, gdzie rząd zapewne nie myślał go zasiewać. Dzisiaj w Królestwie liczą już na tysiące fabryki, a od czasu kiedy Rosja jeszcze bardziej cła podwyższyła przez pobieranie ich w złocie (od 1 stycznia 1877 r.) powstało kilkaset nowych, istniejące zaś poprzednio musiały podwoić a nawet potroić liczbę robotników. W Warszawie, w Łodzi i w innych puuktach fabrycznych spotykamy już takie zakłady, które przynajmniej pod względem rocznego obrotu i liczby robotników, ale nie pod względem jakości wyrobów, przypominają największe zagraniczne fabryki. Trzeba bowiem pamiętać, że te cła ochronne, które przyczyniły się do takiego rozwoju przemysłu w Królestwie, oddziaływają jednak na ten przemysł o tyle szkodliwie, że pozbawiają go potrzeby doskonalenia się, pozbawiają najważniejszego środka stymulującego, jakim jest konkurencya. W skutek tego wyroby fabryk warszawkich są zaledwie lepsze od moskiewskich i jarosławskich, znacznie zaś gorsze od zagranicznych i dla tego nigdy zagranicę nie wychodzą, bo na żadnym rynku, znajdującym się zewnątrz Rosji, warunkom konkurencji sprostać nie mogą. Jednakże nie potrzebujemy brać tego tak bardzo do serca i martwić się tem, że w Trebizondzie, Konstantynopolu lub Smyrnie wyroby warszawskie odbytu nie mają. Na razie niech nam to wystarcza, że 83 miljony Rosjan składa haracz królestwu i to haracz niepospolity, bo prawie tyle samo miljonów wynoszący. Każdy rodowity Moskal opłaca tedy dzisiaj rocznie mniej więcej rubla daniny krajowi naszemu. Jeżeli teraz zastanowimy się, że cła wynoszą od niektórych przedmiotów przeszło 50% wartości; to się okaże, iż najmniej połowa tego rubla jest czystym zyskiem naszych fayrykantów. Dość więc nam tego na razie. A jeżeli taki stan rzeczy potrwa lat kilka, natenczas przemysł nasz w Królestwie stanie tak wysoko, iż weźmie Rosję w monopol i otworzy dla nas erę odwetu ekonomicznego, który tak świetnie, jak to widzieliśmy na początku, zainicjowała Francya względem Niemiec, a który tak we Francyi jak i u nas będzie tylko utorowaniem drogi do odwetu politycznego.

Gdybyśmy chcieli wyczerpać całą *rue des Nations* i cały park wystawy, musielibyśmy mówić jeszcze o krajach tak maluczkich jak W. ks. Luksemburg, rzeczpospolita San Marino, rzeczpospolita Andorska, księstwo Monaco. A tymczasem o tych *mocarstwach* nie ma prawie nic do powiedzenia. W jednem słowie możnaby scharakteryzować cały ich byt przemysłowy. Jednakże nie należy ich lekceważyć zupełnie. Luksemburg mógłby służyć np. za wzór wszystkim państwom europejskim. Posiada on bowiem sławne garbarnie, doskonałe papiernie, fabryki sukien, zakłady ceramiczne, a nadewszystko posiada lud tak wykształcony, że na 200 tysięcy jego mieszkańców obojej płci, nie ma ani jednego człowieka, któryby nie umiał czytać i pisać! Przed taką oświatą musi i Szwajcarya głowę schylać.

Również za wzór wszystkim państwom służyć może Monaco—jest bowiem *mocarstwem*, które od swych poddanych nie pobiera podatków — ani naturalnie dodatków. Z dwóch przeto atrybutów władzy wypróżniania kieszeni kontrybuentów i

[1]) W Europie istnieją obecnie jedynie tylko w Węgrzech kopalnie złota w stanie eksploatacyi, Przynoszą one rocznie od 1200 do 1800 kilogramów czystego złota. Węgierskie zaś kopalnie srebra dają do 25000 kilogramów srebra, prawie piątą część tego co hiszpańskie.

utrzymywania armii — Monaco posiada jeno drugi. Rozporządza bowiem siłą zbrojną, złożoną z trzech szwadronów kawaleryi i czterech batalionów piechoty — ogółem 35 żołnierzy. Nie są to wszakże rekruci, jeno jurgieltnicy. Ale bo też Monaco posiada coś lepszego niż loteryę liczbową - posiada jedyną na całą kulę ziemską ruletę, której właścicielem jest teraz ks. Radziwiłł, zięć nieboszczyka p. Blanca. Ruleta ta opłaca listę cywilną księcia, opłaca armią, opłaca sądownictwo i administracyą, utrzymuje drogi i kolej żelazną, łoży na szkoły i szpitale, słowem ponosi wszystkie wydatki państwowe i dozwala obywatelom księstwa wszystek grosz zarobiony obracać na siebie, nakładając na nich jeden tylko obowiązek — a to ten, że nie wolno im grać w ruletę! Więc i pod tym względem ruleta jest lepszą od loteryi liczbowej.

Kiedy w zeszłym roku przybył do Lwowa p. Müller, bas, który swe lwowskie obywatelstwo przemienił na sanmarińskie, odtąd stolica Galicyi, według zapewnień tutejszego organu teatralnego, weszła w zamienne stosunki handlowe z rzecząpospolitą San-Marino. Importuje ztamtąd za pośrednictwem p. Müllera, spiewaków i spiewaczki a eksportuje austryackie guldeny. Z wykazów statystycznych nie mogliśmy się dowiedzieć czy dochód, jaki tej rzeczypospolitej przynosi handel z Galicyą przewyższa cyfrę dochodu, jaki jej dostarczają bogate łomy marmuru.

Rzeczpospolita Andorska nie weszła w stosunki zamienne z Galicyą, ani też nie posiada rulety. To też 18tysięczna jej ludność pędzi bardzo ubogi żywot, a gdyby nie wyrób terpentyny, pędziłaby jeszcze biedniejszy. Ponieważ jednak w Europie placu nigdy nie zabraknie, może więc zawsze liczyć na szeroki odbyt swego wyrobu i nie ma czego obawiać się śmierci głodowej.

POBUDKA.

Już świta, już świta!
Już poranna zorza
Podnosi się z łoża;
Różami okryta,
Zjawia się w błękicie,
Przed nią znika cień,
Obudza się życie...
I już dzień! już dzień!

Ptaszyna na drzewie
Świegotać zaczyna;
Skrzydełka rozpina
Choć przyczyny nie wie,
I listek się rusza
I wszelki drży kwiat,
Jakby z światłem — dusza
Zstąpiła na świat.

Już świta, już świta!
Już minęło wczora;
Nękała nas zmora,
Spaliśmy do syta,
Ostremi pazury
Darła piekieł moc,
Straszneśmy tortury
Cierpieli przez noc.

Już świta, już świta!
By stworzon do wojny,
Koń rży niespokojny,
Chce pomknąć z kopyta,
I gryzie wędzidła
Gotowy na strzał,
Jak gdyby miał skrzydła,
I w galop się rwał..

Już świta, już świta!
I oto pobudka
Prześliczna a krótka,
Wojenna nas wita.
Z melodyą prawdziwą:
Kto swój! kto swój, swój!
Niech wstaje co żywo,
Niech wstaje na bój.

Zdzisław.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła
WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIĄTA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pani Deberle dowiedziawszy się o śmierci Joanny zapłakała; wpadła w jednę z owych uczuciowych gorączek, które ją wprawiały w ruch przez dwie doby. Była to hałaśliwa rozpacz, nie znająca żadnego pomiarkowania. Pobiegła do Heleny i rzuciła się jej na szyję. Później, zasłyszawszy frazes jakiś, zajęła się myślą urządzenia rozrzewniającego pogrzebu dla małej zmarłej, i myśl ta pochłonęła ją całą. Ofiarowała usługę swą i podjęła się wszelkich starań. Matka, zmęczona płaczem, na wpół martwa, leżała na krześle. Pan Rambaud, który w jej imieniu zajmował się wszystkiem, tracił głowę. Z wdzięcznością przyjął propozycyą pani Deberle. Helena obudziła się na chwilę i rzekła, iż pragnie kwiatów, wiele kwiatów.

Pani Deberle, nie tracąc czasu ciężkim poświęciła się trudom. Przez cały dzień następny biegała po znajomych sobie paniach, oznajmiając im o strasznej nowinie. Koniecznie chciała mieć na pogrzebie szereg małych dziewcząt w bieli. Potrzebowała ich najmniej trzydzieści i nie uspokoiła się, dopóki nie zebrała tej liczby. Sama się udała do administracyi karawanów pogrzebowych, rozmówiła o klasę, wybrała draperye. Miano pokryć kratę ogrodu, a ciało ustawić wśród bzów, na których były już delikatne zielone pączki. Miało to być prześlicznie.

— Mój Boże! żebyż tylko pogoda była jutro! — rzekła wieczorem, załatwiwszy się już ze wszystkiem.

Nazajutrz ranek był jasny, niebo błękitne, słońce złote i czyste i orzeźwiające powietrze wiosenne. Kondukt wyznaczony był na godzinę dziesiątą. O godzinie dziewiątej przyszli robotnicy. Julia kierowała ich ręką. Nie pozwoliła zakrywać zupełnie drzew. Kazała zawiesić białe draperye ze srebrną frendzlą; tworzyły one przysionek między dwoma skrzydłami kraty, ukrytemi wśród bzów. Potem wróciła do salonu dla przyjmowania gości. Zbierano się u niej, by nie nadto zapełniać dwóch pokojów pani Grandjean. Przykro jej tylko było, że mąż musiał tegoż rana wyjechać do Wersalu na konsylium, którego niepodobna było odłożyć, jak powiadał. I sama została w takiej chwili, że nie potrafi dać sobie rady.

Pani Berthier pierwsza przybyła ze swemi dwiema córkami.

— Wyobraź pani sobie — zawołała pani Deberle, Henryk pozostawił mię samę!... No, i cóż Lucyanie, nie powiesz dobrydzień?

Lucyan stał przy niej, ubrany jak na pogrzeb, w czarnych rękawiczkach. Zdawał się być zdziwiony, widząc Zofię i Blankę ubrane jak na procesyą. Jedwabna wstążka opasywała ich suknię muślinową; biała zasłona, aż do ziemi spływająca, pokrywała mały czepeczek z iluzyi. Podczas kiedy matki rozmawiały z sobą, dzieci postrojone, i wskutek tego trochę sztywnie trzymając się, patrzyły na siebie wzajemnie. Wreszcie Lucyan odezwał się:

— Joanna umarła!

Serce mu się ściskało, uśmiechał się jednak z minką zadziwioną. Od dnia wczorajszego stał się grzecznym, myśląc o śmierci Joanny. Ponieważ matka, nadto zajęta, nie odpowiadała mu, rozpytywał przeto sług. A więc kto umarł, ten się nie ruszał?

— Umarła, umarła—powtarzały obie siostry, różowe pod swemi białemi zasłonami. — Czy zobaczymy ją?

Lucyan namyślał się chwilę; z buzią otwartą, z oczami, w jeden punkt utkwionemi, usiłował jak się zdawało domyślić się rzeczy nieznanych po za temi, które znał, i nareszcie cichym głosem wyrzekł:

— Nie zobaczymy już jej.

Tymczasem inne dziewczynki przybywały. Na skinienie matki, Lucyan szedł na ich spotkanie. Małgorzata Tissot ze swemi wielkiemi oczami, ukryta za obłokiem muślinu, podobna była do dziewicy dziecka; jasne jej włosy wymykały się z pod małego czepeczka, tworząc złocistą koronę pod białą zasłoną. Uśmiechnięto się na widok pięciu panien Levasseur; wszystkie były do siebie podobne, najstarsza na czele, najmłodsza na końcu, tworzyły niby pensyonat; sukienki ich tak się wzdymały, że małe ich osóbki zapełniły cały jeden róg pokoju. Kiedy mała Guiraud weszła, szepcące głosy podniosły się; śmiano się, podawano ją sobie z rąk do rąk i całowano. Wyglądała jak biała synogarliczka, nie większa od ptaszka wśród drżących zwojów gazy, które nadawały jej postać puszystą i okrągłą. Matka nawet nie mogła odnaleść jej rąk. Powoli salon napełniał się niby płatkami śniegu. Kilku chłopców w surducikach tworzyło między nimi czarne plamy. Lucyan, którego mała żona umarła, szukał sobie innej. Wahał się bardzo w wyborze, chciałby żony większej od siebie, jak Joanna. Zdawał się jednak skłaniać ku Małgorzacie, której włosy zadziwiały go. Nie odstępował jej.

— Nie zniesiono jeszcze ciała — oznajmiła Paulina Julii.

Paulina tak była wzburzona, jak gdyby szło o przygotowania do balu. Siostra jej z trudnością wymogła na niej to, że nie ubrała się biało.

— Jakto! — zawołała Julia—o czemże oni myślą... Pójdę na górę. Zostań z temi paniami.

I szybko opuściła salon, w którym matki, ciemno ubrane, rozmawiały z sobą półgłosem, a dzieci wystrzegały się najmniejszego ruchu, bojąc się pognieść ubrania. Na górze, kiedy Julia weszła do pokoju zmarłej, wielki chłód przeniknął ją. Joanna leżała jeszcze z rękami złożonemi; jak panny Levasseur, jak Małgorzata, miała na sobie białą suknię, biały czepeczek i białe trzewiki. Wieniec z róż białych, włożonych na czepeczek, uczynił z niej królowę małych jej przyjaciółek, królowę, której święto obchodzili ci wszyscy, zgromadzeni na dole. Przed oknem trumna dębowa, wyłożona atłasem, leżała otwarta

na dwóch krzesłach, jak gdyby szkatułeczka do klejnotów. Meble były poustawiane; gromnica paliła się; pokój zamknięty, zaciemniony tchnął ciszą i wilgocią grobu, oddawna zamurowanego. Julia, wszedłszy tu z dnia słonecznego, z życia uśmiechającego się tam, zatrzymała się nagle i stanęła nieruchoma, nie śmiejąc powiedzieć, by się spieszono.

— Dużo już jest osób — wyszeptała nareszcie.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi — dodała dla tego tylko, by coś powiedzieć:

— Henryk musiał wyjechać na konsylium do Wersalu, miej go za wytłumaczonego.

Helena, siedząc przed łóżkiem, patrzyła na nią swemi martwemi oczami. Nie podobna było wyrwać jej z tego pokoju. Półtora doby już siedziała tutaj głucha na prośby pana Rambaud i księdza Jouve, którzy czuwali nad nią. Dwie noce szczególnie złamały ją, jak gdyby nieskończone konanie. Potem nadeszła straszna boleść przy ubieraniu zmarłej, żądała koniecznie sama włożyć jedwabne białe trzewiczki na nóżki Joanny. I potem siedziała już bez ruchu, jak gdyby nadmiar smutku pozbawił ją wszelkiego czucia.

— Czy są kwiaty? — rzekła wreszcie z wysiłkiem, wciąż jeszcze patrząc na panią Deberle.

— Tak, tak, moja droga — odpowiedziała Julia. — Nie troszcz się o to.

Od chwili, kiedy córka jej wydała ostatnie tchnienie, jedno tylko miała na myśli: kwiaty, stosy kwiatów. Za każdym razem, kiedy spostrzegła nową osobę, nie troszczyła się o nic, zdawała się obawiać, że nie znajdą dosyć kwiatów.

— Macie róże? — odezwała się znowu po chwili milczenia.

— Tak... Upewniam cię, że będziesz zadowolniona.

Potrzęsła głową i znowu wpadła w poprzednią nieruchomość. Tymczasem posługacze konduktowi czekali na schodach. Trzeba było skończyć to nareszcie. Pan Rambaud, który sam słaniał się jak pijany, błagającym ruchem wzywał Julię, by pomogła mu uprowadzić z pokoju nieszczęśliwą kobietę. Oboje wzięli ją łagodnie pod ramiona, podnieśli i prowadzili do sali jadalnej. Ale jak tylko zrozumiała o co chodzi, odepchnęła ich w przystępie najwyższej rozpaczy. Był to widok rozdzierający. Rzuciła się na kolana przed łóżkiem, czepiała prześcieradeł, głośnym buntem serca swego napełniła pokój cały; Joanna tymczasem, pogrążona w wiecznem milczeniu, sztywna i zimna, zachowywała swą twarz kamienną. Twarzyczka jej poczerniała trochę, a usteczka złożyły się wyrazem mściwej zaciętości. Ponure to i nieprzebłagane oblicze dziewczyny zazdrośnej, przyprowadzało Helenę do szaleństwa. Drugą dobę patrzyła na nią, jak zastygała w swej zaciętości, jak stawała się coraz dzikszą, im bardziej zbliżała się ku ziemi. Gdybyż raz jeden, raz ostatni, Joanna uśmiechnęła się była do niej! jakąż pociechą byłoby to dla niej.

— Nie, nie! — wołała. — Błagam was, zostawcie ją chwilkę jeszcze... Nie możecie mi jej odebrać. Chcę ją ucałować... Oh! chwilkę, jednę chwilkę...

I drżącemi rękami trzymała ją, walczyła o nią z tymi ludźmi, którzy się kryli w przedpokoju i z miną znudzoną plecami odwracali. Ale usta jej nie mogły ogrzać zimnej twarzy zmarłej, Joanna opierała się uściskom i odmawiała przebaczenia, matka czuła to dobrze. Wówczas nareszcie dała się uprowadzić; padła na krzesło w jadalnym pokoju, z głuchą skargą powtarzając wciąż jedne wyrazy:

— Mój Boże... mój Boże...

Wzruszenie wyczerpało siły pana Rambaud i pani Deberle. Kiedy po chwili Julia uchyliła drzwi pokoju, wszystko już było skończone. Załatwiono się bez najmniejszego hałasu, zaledwie mały szmer sprawiono przytem. Śruby, nasmarowane zawczasu, zamknęły wieko na zawsze. Pokój był pusty, na miejscu trumny leżało białe prześcieradło.

Zostawiono drzwi otwarte i dano swobodę Helenie. Wszedłszy do pokoju, nieszczęśliwa obłąkanym wzrokiem powiodła po ścianach i meblach. Ciało wyniesiono. Rozalia zasłała równo kołdrę, by zatrzeć ślad lekkiego ciężaru tej, której już nie było. Szalonym ruchem wyciągając przed siebie ramiona, Helena rzuciła się ku schodom. Chciała zejść. Pan Rambaud zatrzymywał ją, a pani Deberle tłumaczyła, że tak się nie robi. Ale ona obiecywała, że będzie rozsądną i że nie pójdzie z pogrzebem. Chciała tylko widzieć i spokojnie zachowa się w pawilonie. Oboje płakali słuchając ją. Trzeba było ją ubrać. Julia zakryła jej suknię czarnym szalem, ale nie mogła znaleść kapelusza, nakoniec znalazła jakiś; włożyła go na jej głowę, oderwawszy od niego pęk czerwonej werbeny. Pan Rambaud, który miał prowadzić orszak, podał ramię Helenie. Kiedy się znaleźli w ogrodzie pani Deberle, ta szepnęła do niego:

— Nie opuszczaj jej. Ja mam masę zajęcia.

I umknęła. Helena szła z trudnością, wzrokiem szukając przed sobą. Wszedłszy do ogrodu, westchnęła. Mój Boże, co za piękny poranek! Ale oczy jej pobiegły natychmiast w stronę kraty; spostrzegła tam trumienkę. Pan Rambaud pozwolił jej zbliżyć się nie więcej jak o parę kroków.

— Bądź mężną — mówił, drżąc sam.

Patrzali oboje. Promień słońca oblewał trumnę. W nogach na koronkowej poduszce stał srebrny krucyfiks. Na lewo była kropielnica, a w niej kropidło. Wielkie gromnice paliły się ciemno, małe tańcujące płomyki ulatywały z nich, rzucając czarne plamy na słońce. Gałęzie drzew, osypane fioletowymi pąkami, tworzyły altanę. Był to kącik wiosenny, do którego przez rozsunięte draperye wpadał szeroki promień słońca; kwiaty, któremi zasypano trumnę, rozkwitały pod jego złocistą kurzawą. A kwiatów tych była niesłychana moc: snopy róż białych, pęki kamelii białych, białych bzów, białych goździków, jakby śnieżysta zaspa białych płatków. Ciało zmarłej znikało pod nimi; białe pierwiosnki, białe hiacynty zwieszały się z całuna, opadały i zasypywały ziemię. Przechodnie, których było mało na ulicy Vineuse, zatrzymywali się i uśmiechali ze wzruszenia, patrząc na ten ogródek, opromieniony słońcem, w którym umarłe, dziecię spało pod kwiatami. Biała ta barwa jasno i czysto świeciła się na słońcu, które drganiem życia ogrzewało obicia, bukiety, wieńce. Ponad różami pszczoła brzęczała.

— Kwiaty.. kwiaty... — wyszeptała Helena, która innych słów nie miała.

Usta swe przyciskała chustką, a oczy miała łez pełne. Zdawało się jej, że musi być ciepło Joannie, a myśl ta rozrzewniała ją jeszcze bardziej; czuła wdzięczność dla tych, co dziecię jej obsypali wszystkiemi kwiatami tymi. Chciała zbliżyć się jeszcze, pan Rambaud nie myślał już powstrzymywać jej. Jakże tu miło było pod temi draperyami! Woń kwiatów rozchodziła się do koła, w powietrzu nie było najlżejszego ruchu. Helena pochyliła się i podniosła różę. Przyszła po różę, by ją przypiąć do stanika swego. Ale przytem zaczęła drżeć, pan Rambaud przestraszył się.

— Chodźmy ztąd — rzekł, uprowadzając ją.—Obiecałaś, że nie będziesz narażała zdrowia swego.

Chciał zaprowadzić ją do pawilonu, wtem drzwi od salonu roztworzyły się na roścież. Paulina ukazała się w nich pierwsza. Podjęła się była uorganizować orszak. Małe dziewczynki zaczęły za nią shodzić, jedna za drugą. Przezroczyste ich suknie migotały na słońcu wszystkimi odcieniami białej barwy, jak na skrzydłach łabędzia. Płatki jabłoni opadały, pajęcze włókna bujały w powietrzu, sukienki dziewczątek, to była niewinność i czystość wiosny. Szereg ich długi opasał już trawnik, a jeszcze wciąż zstępował z ganku; lekkie jak puch, nagle rozkwitały na wolnem powietrzu.

Cały ogród stał się biały; patrząc na tę gromadę dziewczynek, Helena przypomniała sobie bal przeszłoroczny i skaczącą wesołość małych nóżek. Przed wyobraźnią jej mignęła postać Małgorzaty, przebranej za mleczarkę z puszką do mleka, zawieszoną u paska; Zofia jako subretka kręciła się z siostrą swą Blanką, której kostium brzęczał dzwonkami. Dalej widziała pięć panien Levasseur. Czerwone kapturki roiły się wszędzie, w czapeczkach z atłasu ponsowego w pasy czarne aksamitne; mała Guiraud, ze swym motylem Alzatki, wpiętym we włosy, skakała jak szalona naprzeciw arlekina dwa razy większego od niej. Dzisiaj wszystkie były w bieli. Joanna także biała była, na poduszce z białego atłasu leżąca wśród kwiatów. Delikatna Japonka, z długiemi szpilkami wpiętemi we włosy, w tiunice purpurowej, haftowanej w ptaki, oddalała się ubrana w bieli.

— Jak one powyrastały! — szepnęła Helena, płacząc.

Wszystkie tu były, córki jej tylko brakowało. Pan Rambaud wprowadził Helenę do pawilonu; ale ona stanęła we drzwiach, chciała widzieć, jak orszak wyruszy. Panie przyszły pozdrowić ją. Dzieci patrzyły na nią swemi błękitnemi oczami.

Tymczasem Paulina krążyła między dziećmi i wydawała rozkazy. Stosując się do okoliczności tłumiła głos swój, ale chwilami zapominała się.

— No, bądźcie grzeczne... Patrz, ty gapiątko, już brudna jesteś... Przyjdę po was, nie ruszajcie się z miejsca.

Karawan przybył, można już było wyruszyć z domu. Pani Deberle ukazała się i zawołała:

—Zapomniano bukietów!... Paulino, prędko, bukiety!

Tu nastało małe zamięszanie. Dla każdej dziewczynki przygotowano bukiet z białych róż. Trzeba było rozdać te kwiaty; dzieci zachwycone trzymały przed sobą wielkie ich pęki, jak gromnice. Lucyan, który nie odstępował Małgorzaty, z rozkoszą wąchał kwiaty, które ta przytykała mu do twarzy. Wszystkie te dziewczątka z kwiatami w rękach śmiały się radośnie, potem nagle spoważniały, widząc jak wynoszono trumnę i stawiano ją na karawanie.

— To ona tam we środku? — spytała Zofia cichutko.

Siostra jej Blanka odpowiedziała na to kiwnięciem głowy. Potem rzekła z kolei:

— Dla dużych ludzi, to tak wielkie.

I mówiąc to rozszerzała rączki swe jak mogła. Wtem mała Małgorzata, wpakowawszy nosek swój między róże, zaczęła się śmiać —

łaskotało ją to, jak powiadała. Inne wówczas zaczęły również wtykać swe nosy do bukietów, musiały przecie przekonać się. Tu zawołano na nie — przycichły odrazu.

Orszak wyruszył. Na rogu ulicy Vineuse kobieta jakaś w sabotach zapłakała, patrząc na kondukt i łzy swe ocierała rogiem fartuszka. Kilka osób pokazało się w oknach; wśród ciszy ulicy dały się słyszeć głosy politowania. Karawan, obity białą draperyą i srebrną frendzlą, toczył się zwolna; na bitej drodze rozlegał się tylko równy przygłuszony krok dwóch białych koni. Wóz ten unosił jak gdyby całe żniwo kwiatów, bukietów i wieńców. Trumny nie widać było, wóz lekko podrzucał w górę pęki kwiecia, gałęzie bzu spadały na drogę. Z czterech rogów spływały długie wstęgi białe; trzymały je cztery małe dziewczyki, Zofia i Małgorzata, jedna z panien Levasseur i mała Guiraud; ta ostatnia tak malutka i tak potykająca się, że matka szła koło niej. Reszta w ścieśnionych szeregach opasywała karawan, z bukietami róż w rękach. Szły powoli, zasłony ich podnosiły się z lekka, koła obracały się wśród tego muślinu, jak gdyby unoszone obłokiem, z pośród którego uśmiechały się delikatne główki cherubinów. Z tyłu, za panem Rambaud, który miał twarz bladą i głowę spuszczoną, szły panie, kilku chłopców, Rozalia, Zefiryn służba Deberle'ów. Poza tem wszystkiem posuwało się pięć próżnych powozów. Na ulicy jasno oświetlonej słońcem, białe gołębie podleciały, patrząc na wóz ten wiosenny, powoli kroczący.

— Mój Boże! co za przykrość! — Mówiła pani Deberle; w chwili kiedy orszak wyruszał.— Czemu Henryk nie odłożył tego konsylium, mówiłam mu!

Sama nie wiedziała, co ma począć z Heleną, która padła na krzesło w pawilonie. Henryk byłby został z nią. Byłby ją pocieszył trochę. Jakże to źle, że go nie było. Na szczęście, panna Aurelia ofiarowała się; nie lubiła rzeczy smutnych; obiecała zarazem zająć się podwieczorkiem, który za powrotem miano podać dzieciom. Pani Deberle śpiesznie dogoniła kondukt, który ulicą Passy dążył ku kościołowi.

Ogród stanął pustką; robotnicy zwijali draperye. Na piasku, kędy Joanna przeszła, pozostały tylko płatki kamelii. Helena w tej samotności i głuchem milczeniu, co ją nagle otoczyły, znowu uczuła szarpiącą boleść wiecznego rozstania. Raz jeden jeszcze, tylko raz jeden być z nią jeszcze! Uparta myśl, że Joanna odchodziła zagniewana, z twarzą niemą i urażoną, myśl ta paliła ją jak gorące żelazo. Widząc że panna Aurelia pilnuje ją, postanowiła umknąć przed nią i pobiedz na cmentarz.

— Tak, to wielka strata — powtarzała stara panna, wygodnie usadowiwszy się w fotelu. — Ja przepadałabym za dziećmi, za dziewczynkami szczególnie. Otóż, jak pomyślę o tem, to i rada jestem, żem nie poszła za mąż. Mniej zmartwień.

Sądziła, że rozrywa Helenę. Mówiła o jednej z przyjaciołek swoich, która miała sześcioro dzieci; wszystkie pomarły. Innej znowu pani pozostał tylko syn, który ją bił; ten właśnie powinien był umrzeć, matka łatwoby się była pocieszyła po nim. Helena udawała, że słucha. Nie ruszała się wcale, drżała tylko z niecierpliwości.

— Otóż i uspokoiłaś się — rzekła nakoniec panna Aurelia. — Mój Boże, trzebaż nareszcie wyperswadować sobie.

Drzwi od sali jadalnej wychodziły do pawilonu japońskiego. Panna Aurelia powstała, otworzyła je i wyciągnęła szyję. Ciasta, ułożone na talerzach, pokrywały stół. Helena szybko uciekła przez ogród. Krata była otwarta, robotnicy wynosili drabiny.

Na lewo ulica Vineuse skręca się na ulicę des Réservoirs. Tam właśnie znajduje się cmentarz Passy. Olbrzymi mur wznoszący się na bulwarze de la Muette stanowi podporę cmentarza, który jak ogromna terasa panuje nad Trocadero, nad ulicami, nad Paryżem. Przebiegłszy kroków dwadzieścia, Helena stanęła w drzwiach otwartych; przed nią leżało pole białych grobów i krzyżów czarnych. Weszła. Po rogach pierwszej alei stały dwa wielkie krzewy bzów okryte pąkami. Rzadko kiedy chowano tutaj, chwasty porastały dokoła, cyprysy ciemniejszą swą barwą odbijały od powszechnej zieloności. Helena szła prosto przed siebie; stado wróbli zerwało się na jej widok; grabarz podniósł głowę, wyrzuciwszy na bok łopatkę ziemi. Zapewne kondukt nie przybył jeszcze; cmentarz zdawał się być pusty. Zwróciła się na prawo i doszła aż do muru terasy; idąc dokoła, spostrzegła za klombem akacyi dziewczynki w bieli, klęczące przed tymczasowym grobem, do którego właśnie spuszczono ciało Joanny. Ksiądz Jouve z wyciągniętą ręką dawał ostatnie błogosławieństwo. Usłyszała tylko głuchy stuk grobowego kamienia, który zapadał. Skończyło się.

Tymczasem Paulina spostrzegła ją i pokazała pani Deberle. Ta rozgniewała się prawie, szepcząc:

— Jakto! przyszła tu! Ależ tak się nie robi, to już w najgorszym smaku!

Zbliżyła się ku niej i wyrazem twarzy okazała, że nie pochwala jej postępku. Inne panie ciekawie przysunęły się także. Pan Rambaud zbliżył się również i milcząc stanął przy niej. Helena oparła się o jedną z akacyi; wszyscy ci ludzie męczyli ją, czuła się słabą. Kiwnięciem głowy odpowiadała na słowa pociechy, ale jedna myśl dręczyła ją wciąż: przybyła zapóźno, usłyszała tylko łoskot opadającego kamienia. Oczy jej wciąż się zwracały na grób, którego schody zamiatał stróż cmentarny.

— Paulino, pilnuj dzieci — powtarzała pani Deberle.

Dziewczynki klęczące powstały jak stado białych wróbli. Niektóre nadto małe usiadły były na ziemi; trzeba było podnieść je. Podczas kiedy spuszczano ciało Joanny do grobu, doroślejsze z dzieci wyciągały szyję, zaglądając do dziury. Bardzo tam było ciemno; zbladły i zadrżały. Zofia zapewniała po cichu, że trzeba tam leżeć całemi latami. I w nocy także? spytała jedna z panien Levasseur. Naturalnie, że i w nocy; zawsze. Oh! w nocy, Blanka byłaby umarła. Wszystkie patrzyły na siebie szeroko rozwartemi oczyma, jak gdyby słuchały jakiejś historyi o złodziejach. Ale jak tylko powstały i rozpierzchły się koło grobu, twarzyczki ich zarumieniły się znowu; nie, to nie prawda, opowiadano tak dla żartu. Tak tu było ładnie, ogród taki śliczny; jakby się tu można doskonale bawić w ciuciubabkę, po za tymi wszystkimi kamieniami! Małe nóżki podskakiwały już, sukienki powiewały, jak gdyby skrzydła ptasie. Wśród ciszy grobów, pod ciepłymi promieniami słońca młodzież ta rozkwitała. Lucyan wpakował nareszcie rękę pod zasłonę Małgorzaty; dotykał jej włosów, chcąc wiedzieć, czem je sobie smarowała, że takie były żółte. Mała nadymała się. Chłopak mówił jej, że się z nią ożeni. Małgorzata zgadzała się na to, ale bała się, by jej nie ciągnął za włosy. Dotykał ich wciąż; wydawały mu się gładkie jak papier listowy.

— Nie odchodźcie tak daleko — wołała Paulina.

— A więc, idziemy—rzekła pani Deberle. — Nic tu nie robimy, dzieci muszą być głodne...

Trzeba było zgromadzić dziewczynki, które się rozpierzchły jak pensyonerki w czasie rekreacyi. Policzono je — brakowało małej Guiraud; nakoniec, ujrzano ją bardzo daleko, w alei, poważnie przechadzającą się z parasolką swej matki. Naówczas panie skierowały się ku drzwiom, popychając przed sobą falę białych sukienek. Pani Berthier winszowała Paulinie przyszłego jej małżeństwa, które miało przyjść do skutku następnego miesiąca. Pani Deberle mówiła, że za trzy dni wyjeżdża do Neapolu z mężem i z Lucyanem. Wszyscy się rozchodzili, Zefiryn i Rozalia pozostali na ostatku. I oni z kolei oddalili się. Wzięli się pod ręce, zachwyceni tą przechadzką, pomimo wielkiego zmartwienia swego; zwalniali kroku — w końcu alei słońce raz jeszcze oświeciło ich plecy.

— Chodź 'ztąd — szepnął pan Rambaud.

Helena prosiła go, by zaczekał. Była sama, zdawało się jej, że jedna kartka z jej życia została wyrwana. Kiedy ostatnie osoby znikły już, uklękła przed grobem. Ksiądz Jouve, w komży, nie podniósł się był jeszcze. Oboje długo się modlili. Nareszcie, nie mówiąc nic, z pięknym wyrazem przebaczenia i miłości w oczach ksiądz pomógł jej powstać.

— Podaj jej rękę — rzekł tylko do pana Rambaud.

Na horyzoncie Paryż kąpał się w ciepłem przejrzystem powietrzu wiosennego poranku. Na cmentarzu ziemba śpiewała. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Miłosław, w listopadzie 1878 r.

(*Komedya Adolfa l'Arronge — włoska satyra — z Poznania — koloryt Poznania — z dziennikarstwa — z teatru — z Miłosławia*).

Piszę dziś do was z podróży; nie spodziewajcie się wielkich rzeczy, bo z pamięci piszę, nie mając materyałów pod ręką. Między nowościami berlińskich teatrów, zasługuje ostatnia komedya Adolfa l'Arronge na szczegółową wzmiankę. Pan l'Arronge, były dyrektor teatrów wrocławskich, należy do tych autorów dramatycznych. którzy wierzą: iż talent bez pracy nie bardzo ostać się może. Wiadomą rzeczą, zwłaszcza u nas aż do przesytu praktykowaną, że talent niechętnie pracy się ima, bo to trud, a talenta trudu nie lubią. Gieniuszowi uchodzi jeszcze lekceważenie pracy, bo ten i tak swoją ideę wypowie, choć często, jeżli nie pracował, w niestrawnej formie, ale bogowie minoris gentis powinni koniecznie rękawów zakasać, chcąc dojść do jakiegokolwiek trwalszego rezultatu. Otóż pan l'Arronge debiutował nasamprzód jako tak zwany dramaturg ludowy. (Volksschauspiel-Possendichter). Prace jego w tym kierunku (Mein Leopold, Hasemanns Töchter) miały wielkie powodzenie, bawiąc niewybredną publiczność przez czas dłuższy. Rodzaj ten dramatu i u nas znany niedawno powstał. Miał zastąpić pogrzebione Schauer i Ritterdramen, miał podać ludowi zdrową strawę uczciwych, w pocieszną formę ubranych myśli, miał, słowem rozweselać, ucząc. Dowcip, raczej wesele pospolite (dowcip gruby), zwyczajny, nie wyszukany przedmiot, lekka, zrozumiała kompozycya... będą głównymi warunkami takich prac. Pierwszorzędnego pomysłu, albo artystycznej kompo-

zycyi nikt w takiej pracy oczywiście nie szuka, boby takie czynniki tu nie miały wielkiego celu. Dramata ludowe nie przetrwają *wartością* nigdy autora, choć może jako obrazy „niedzielne“ kilkadziesiąt lat przeżyją. Pan d'Arronge był znakomitym dramaturgiem ludowym. ale ponieważ pracuje nad wydoskonaleniem swego talentu, dlatego posunął się w ostatniej pracy o jeden stopień wyżej, bo przeszedł do komedyi. „Niemiecki baron, leniwiec i hulaka (zwykły typ niemieckiego pana w niemieckich komedyach), ożenił się z córką bogatego mieszczanina, złotnika, i hula sobie na dobre, na grosz teścia licząc. Młoda para, już w pierwszym akcie zgodna w sentymentach, chce się koniecznie pobrać. Między te dwa stadła wchodzi poczciwy Dr. med. Klaus (od którego tytuł pracy „Doctor Klaus“) i sprawia, że się baron do obowiązków godniejszych nawraca, a młoda para żeni.“ Rezultat dodatni, jak widzimy i poczciwy. Nasamprzód trzeba komedyi niewłaściwy tytuł zarzucić. Wprawdzie pisze Lessing w hamburgskiej dramaturgii, że tytuł jest rzeczą obojętną, jednak i w tej drobnostce autor na to uważać powinien, aby się etykieta w czemkolwiek do całości odnosiła. Dr. Klaus nie jest wcale w komedyi agującą figurą, bo oprócz kilku morałów, któremi barona nawraca, nic więcej nie czyni. Sam nie wchodzi w skład akcyi, sam ani cierpi, ani dla *siebie* pracuje, tylko *pośredniczy*. Jest tedy piechurem całości, a jako taki nie może nadawać tytułu. Piszę o tem. gdyż z tej drobnostki wynika dalszy błąd, któremu prawie wszyscy niemieccy dramaturdzy podlegają. Autor chciał oczywiście z Klausa figurę przednią uczynić, ale nie umiał. Nie *czyni* bowiem (dramatycznie) kto tylko pośredniczy, nie czując oddziaływania akcyi na sobie. Jestto bardzo na pozór subtelna różnica, a jednak zasadnicza w dramacie. Kto na pierwszym planie występuje, musi być sam w akcyą wplątany, bo rola pośrednia nie jest *wręcz* czynną. W kompozycyi tej leży już zaród dalszych wad, jakoto: niecałolitości akcyi, i brak ścisłego wiązania scen. Pominąwszy te błędy, trzeba l'Arronge'owi wiele zalet przyznać. Charakterystyka jego jest znakomita, dyalog zawsze żywy i komiczny, a nawet ucieszny, tendencya szlachetna, bo dodatnia. Jedna rzecz: pomysł zdradza manierę, bo manierą nazywam wieczne typy bumlującego szlachcica a pracowitego i godnego mieszczanina. Są to figury powtarzające się we wszystkich dramatach i powieściach niemieckich, od lat mniej więcej dwudziestu, czyli od czasu przewagi tak zwanych liberalnych idei. Wygodne to może i korzystne, bo, ponieważ wynoszenie burżoazyi ze szkodą szlachty dziś się podoba, więc ma autor już od razu pierwszą nadzieję do oklasków. Ale prawdziwe nie jest a przedewszystkiem nie artystyczne. Artysty oko musi być wszechstronne, krytykujące (prawda), ale sprawiedliwe, dla artysty nie ma stanów, tylko pojedyńczy ludzie, bo stan o tyle tylko na szali sądu zaważy, o ile wpłynął na urobienie takiego a nie innego indywiduum. Palenie kadzideł na cześć burżoazyi jest błędem organicznym całego dzisiejszego artyzmu w Niemczech. Łatwy to środek do zarobienia na szybką sławę i do obciążenia kieszeni mamonem „tej ziemi.“ I ja szukałem w niemieckiem mieszczaństwie ideału, odbitego w książkach, a nie znalazłem go. Choć nie jestem osobiście przyjacielem burżoazyi, przyznaję, że wiele tam cnót, ale więcej głupstw i przewrotności; wolno każdemu inaczej wierzyć. Autorowie niemieccy powinni się z tej połowiczności, czyli choroby wyleczyć!

— Może nie każdy wie, że Włosi mają znakomitą satyrę. Naród żywy, zapalający się łatwo, a przez długie wieki z dwóch stron tyranizowany (przez księży i małe książątka) przywykł do komedyi i pokątnych środeczków, bo indignatio facit versum, jak mówi Juvenal. Paul Heyse, monachijski beletrysta i tłómacz nowszych poetów włoskich, powiada we wstępie do przekładu Giuseppa Giusti'ego, że można by idąc za nicią satyry włoskiej, napisać bardzo dobrą historyą apenińskiego półwyspu. Przesada to oczywiście, ale prawdą jest, że historya satyry może rozświecić wiele ciemnych punktów, a zwłaszcza zakulisowych. Kiedy np. papież Urban VIII, z rodu Barberinich, kazał przerobić pozłocony sufit z Panteonu na baldachim dla siebie (w kościele św. Piotra), a za resztę nabył armaty, mówiono w Rzymie: quod non fecerunt barbari Romae fecit Barberini. Zwroty takie i dwuznaczniki nie rzadkie są w Rzymie, bo Włosi mają wiele dowcipu. Wiemy, że zmarły Pius IX. w tym rodzaju fosforycznego talentu celował. Ponieważ z jednej strony rządy hierarchiczne, a z drugiej uścisk mniejszych książąt, nie pozwalały się wolniejszej myśli rozwinąć, przeto skupił się duch włoski w satyrze, za pomocą której ciskał zjadliwe strzały na mocarzów swoich. Ztąd poszło, że satyra włoska dość wysoko stoi. Najgłówniejszym satyrykiem był Giuseppe Parini, żyjący w ośmnastym wieku (ur. 1729 r. w Bosisio, w Lombardyi). Dzieło jego „Il Giorno“ narobiło owego czasu wiele wrzawy. W najnowszym czasie zasłużył się na tem polu Giuseppe Giusti, którego dzieła na rozmaite języki przełożono.

— Pracą zarzucony, Niemcami prawie przez rok otoczony... zapragnąłem polskich twarzy, dźwięków polskich... odświeżenia myśli, serca i ciała. Nie dziwne to oczywiście pragnienie, i nie dziwne daty, że jako pruski poddany ruszyłem do polskiej stolicy pruskiego zaboru. Do *polskiej?* A tak... Wszakże w Poznaniu leżą prochy pierwszych królów naszych, w katedrze poznańskiej złożone, pod pomnikami Rauch'a śniące, wszakże w tych okolicach, gniazdo białych orłów najpierw zoczono. A tak!.. Tu kołyska i pierwsza szkoła Polski, ztąd nasze wyjście, z Poznańskiego ród wiedziem. A dziś? No, zobaczymy. na ulicach Żydzi i Niemcy — Niemcy i Żydzi, w kawiarniach Niemcy, na promenadach Żydzi, w restauracyach Niemcy i tam dalej. Główne ulicy zajmują Niemcy i Żydzi, główne sklepy znów oni, największe domy tak samo; ulicą idąc słychać prawie wyłącznie język niemiecki, a jeśli się ktoś w polskiem ubraniu pokaże (co się waszemu korespondentowi zdarzyło) stawają ludzie za nim, śmieją się z niego, a nawet... nawet, insultują wręcz, polskiego autora, w polskiem mieście. po polsku ubranego. A co? Nie mogąc znaleść na ulicach Polski, szło się tedy pod dachy, aby się tam odświeżyć. A tam co? A tam nikt o Polsce nie mówi, bo każdy skarży się na biedę, każdy zajęty nędznym chlebem, którego mało, powszedniem jutrem. Słowo cieplejsze jakoś nie idzie, nie rwie się z piersi, w której zamarło, a jeźli się ktoś, co zdala kraj swój kocha, do niego tęskniąc, o tem, co nas boli, raczej bolec powinno, odezwie, patrzą na niego, uśmiechają się niby mądrze, jak gdyby chcieli powiedzieć: jaki to jeszcze głupiec! My, my Poznanianie kwiatem jesteśmy kraju, bo my nie łudzimy się już, nie marzymy dzieci zwyczajem, więc z apatyą ręce załamaliśmy, mówiąc z turecka: Ałłach ił Ałłach, wielki jest Bóg i prorocy nasi w redakcyach, a co Pan od wieków postanowił, stanie się. Ale ten Pan dał ludziom pazury, aby drapali, zęby aby gryźli, ręce do pracy, głowę nie do pozłoty, więc nie stanie się, jak postanowił, tylko tak, jak my sobie sami urządzimy. Z zimną krwią odpowiada mi jeden z poznańskich koryfeuszów na zapytanie, co się też z Poznania zrobi za lat kilkadziesiąt? ano, zrobi się to samo, co z Prus zachodnich — niemiecki kraj z kilkoma oazami polskiemi, tu i owdzie rozrzuconemi. Odpowiedziawszy tak, ogląda się z satysfakcyą, boć wypalił genialny obraz, coś mądrego powiedział. Uchodźże tedy z pod dachów, bo i tam Polski nie ma w sercach, a zastukaj do *wielkości* Poznania, którzy z pracy publicznej żyją, więc choćby ex officio gorącej przemówią. Narodowego znicza stróże, polskiej myśli krzewiciele, marzeń naszych wykonawcy, redaktorzy i redaktorzyki, politycy wielcy i mali, patriae patres i tam dalej, chyba oni ciebie, włóczęgo, pocieszą, ogrzeją. Oho! I tu nie prawda... Feak na prowincyi (ulubiony tytuł obywatela wiejskiego w katolickiem dziennikarstwie) sądzi, iż taki redaktor musi być piecem, w którym bezustannie ogień poświęcenia bucha, boć tak wnioskować trzeba, a nawet godzi się trutniowi na prowincyi. Wiecznie rozpalonym piecem nawet redaktor być nie może, oczywiście, przepaliłby się bowiem rychło, jak wiemy, ale, jeźli ktoś już przepalony, wypalony, albo nigdy nie rozpalony do pracy publicznej stanął, wtedy mu lepiej, aby buty czyścił, lub tużurki z pierza obierał, bo kamienia młyńskiego nie wart. Rzemieślników „na buty i obiady pracujących“ ołtarz publiczny nie potrzebuje, tylko kapłanów; pisarków, „obsługujących publikę“ (także specyficznie poznański frazes) również nie, ale ludzi przekonania i talentu. Przekonań nie widać w dziennikarstwie poznańskiem, bo liberalny „Dziennik“ dziś Moskalem jest, jutro kosmopolitą, a pojutrze katolikiem, albo radykałem (co się nazywa rozumem politycznym), „Kurjer“ zaś pisze to, co mu kapituła, z Rzymu inspirowana, każe, a pism reszta kłóci się o drobnostki — talentu także dopatrzyć się nie można, ale spostrzega się wszędzie wiele nienawiści i to tak zjadliwej, że nawet pisma niemieckie ze zgrozą, z obrzydzeniem o tem piszą. Ostatniemi czasy toczyła się między „Gwiazdą“, „Wartą“ a „Orędownikiem“ tak bezecna polemika, iż się redaktorzy wzajemnie o szachrajstwa i inne brudy osobiste *w pismach* oskarżali. Nienawiść przechodzi granice redakcyi, wciska się do prywatnych stosunków, tak dalece, że redaktor jednego stronnictwa nie obcuje z kimś trzecim, który z redaktorem innego stronnictwa rozmawiał. Nazywa się to w Poznaniu: mieć farbę, czyli kto jest liberałem, nie może podać ręki katolikowi, bo go musi i prywatnie nienawidzieć, a farbę mieć nazywa się tu dalej: być zwolennikiem tego pana lub owego, nie zaś idei, kierunku. Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie, bo tylko jam nieomylny, a kto się odważy być *ze sobą* tylko, bo nie chce *poznańskich farb*, ten musi być wyklętym. O tem np., że artysta-pisarz nie wiele się troszczy o drobne odcienia, bo nie ma nic z polityką do czynienia, o tem, że oryginalny autor służy *swemu* kierunkowi, a co do polityki jest tylko *Polakiem*, tu pojęcia nie znają i dziwią się, jeśli ktoś nie idzie za panem lub... W całym świecie cywilizowanym jest np. beletrysta niezależnym pracownikiem, jest artystą, dla którego stronnicza szata o tyle tylko waży, o ile wpłynęła na *wewnętrznego*, człowieka, ale w Poznaniu musi i powieściopisarz ultramontaninem, liberałem, lub świeckim być katolikiem, bo tu rozróżniają liberalne, katolickie, albo jeszcze inne serca. Nie śmiejcie się wy tam we Lwowie, tylko wierzcie, co wam piszę, bo nie stronnicza nienawiść ze mnie mówi, ale prawy żal. Ów koryfeusz dobrze mówił: za lat pięćdziesiąt będą w Księstwie polskie osady tylko oazami. Jakżeż się nie smucić?

Zmęczony apatyą, martwotą miasta, chronię się do polskiego teatru, sądząc że przynajmniej w sztuki narodowej przybytku człek się ogrzeje. Jeźli ktoś dłuższy czas między obcymi siedział, i nagle usłyszał, choćby prostego wyrobnika, ale z kraju, głos znajomy, to ten ktoś zrozumie potężne wrażenie ojczystego słowa, wygłoszonego na scenie. Ten ktoś będzie umiał dalej ocenić wartość teatru jako szkoły. Jednak wrażenie mija, a wraca krytyka. A krytyka przyznać

musi z żalem, że poznański teatr zeszedł na ostatni stopień widowisk — bo stanął w rzędzie najpospolitszych teatrzyków. Nie widziałem oprócz Linkowskich na scenie poznańskiej ani jednego aktora, któryby się umiał choćby przyzwoicie, nie mówiąc już scenicznie poruszać. Komplet jest tak nędzny, żebym chciał widzieć jaki poważniejszy dramat na scenie poznańskiej, aby się przekonać, co też *tacy* aktorzy z dramatu zrobią. Byłby to oczywiście w swoim rodzaju unikat. To też dyrektor, znając siły swoje, wystawia same bluetki w guście „Podróż po Warszawie.“ na których ostatnią „Gołąbki czyli Dyderski, komiwojażer z Poznania“ trafiłem. Widziałem już wiele głupstw ogródkowych, ale czegoś tak bez sensu, tak zupełnie bez sensu nie zdarzyło mi się jeszcze napotkać. Otóż: śpiewy, raz wesołe to znów płaczliwomdłe, chóry, które sobie przychodzą, bo im autor kazał (motywu innego nie ma) rozmaite kostiumy, sale, bale, tańce i takie i takie, pożar, straż ogniowa, i Bóg wie co. Że sobie autor, który, nawiasowo mówiąc, pod kapturem pseudonimu ukrywa dość znane u nas oblicze, nic nie myślał, pisząc coś, czego nawet ramotą nazwać nie można, wybaczy każdy chętnie, boć trudno myśleć, kiedy się nie umie, ale że sobie za drwił z ludzi, o tem na przyszłość pamiętać warto. Drwi sobie i dyrektor poznańskiego teatru z publiki, bo napełnia kieszeń, nie troszcząc się o resztę obowiązków, czego i jemu za złe wziąć nie można, jak się nikt gniewać nie będzie na restauratora, który zamiast dobrego bulionu sprzedaje wodę otłuszczoną — ale drwić sobie nie powinni dziennikarze z posłannictwa swego, które się zowie: straż społeczna narodowych interesów. Cavete consules poznańscy, aby się słowa owego koryfeusza nie spełniły.

— Zabrałem manatki moje, otrzepałem kurz z butów wędrownych i ruszyłem na prowincyą pod Miłosław, chcąc koniecznie z kraju wynieść miłe wrażenie... Koniecznie, bo ciężko żyć... bez wiary i nadziei. Tu widać Polskę... tu są jeszcze Polacy. Może jakoś będzie...

Przepraszam za lichą korespondencyą. Postaram się, abyście na przyszły raz mieli „podwójne mądrości.“

T. Jeske-Choiński.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 28. listopada.

(K.) Dzięki Bogu upłynął szczęśliwie i bez guzów na pociechę, wszystkich a szczególniej c. k. policyi, która widocznie ma łaski u nieba, bo nikt z pokiereszowanych nie umarł, a nawet ci podług korespondentów do gazet warszawskich zabici, dnia trzeciego zmartwychwstali. P. Cossa, podobno jak zapewniają ci co byli na koncercie poniedziałkowym w teatrze, pokazał się kompletnie zdrowym zgromadzonej publiczności i przyjęty został bardzo sympatecznemi oklaskami. I jak tu nie wierzyć w zawziętość ludzką, w ten upór bez granic, z którym nieprzejednani chcą wmówić w publiczność że to był p. Zboiński, a nie szanowny i powszechnie znany komisarz?... Mówią nawet, że trochę urosł i utył — ale to on sam wykapany co do joty!

Tymczasem na wszystkie strony rozpoczęły się śledztwa i w Sądach i w Namiestnictwie i w Magistracie i w redakcyach pism codziennych. Spisano już Memoryał w Radzie miejskiej, który pan prezydent Jasiński razem z ofertą na wydzierżawienie akcyzy powiózł do Wiednia; Sąd powiatowy już napiętnował karą pięciu i dziesięciu reńskich kilku zbrodniarzy, a Trybunał karny wypuścił aresztowanych i skrzętnie gromadzi materyały do powtórnego ich zamknięcia...

Wszystko to jednak nie przeszkadzało, że do piątku nie mówiono o czem innem w mieście jak o tych wypadkach, znosząc najrozmaitsze nowiny i to z wiarogodnego źródła: kto kazał użyć broni, kto się usunął od rady, kto przyjął na siebie odpowiedzialność, zkąd były depesze — słowem krzyżowały się najrozmaitsze wersye tajemnicze i przez dyskrecyą sobie udzielane, a w nich tyle jest rzeczywistej prawdy, że za monetę taką bułki centowej kupić nie można. Nic to jednak nie przeszkadza, że poczciwy ludek lwowski radzi, udziela dymisye dygnitarzom i niedygnitarzom i oczekuje cierpliwie, rychło wybrana delegacya dostanie pozwolenie złożenia przed tronem swoich zażaleń.

I prasa nasza również wojuje z krakowską. Szpalty jej zapełniają się codzień różnemi głosami z kraju różnemi korespondencjami, które przekonywują czytelników z ręką na sercu raz że pan Hausner jest wielkim człowiekiem, drugi raz że jest zdrajcą opanowanym przez pychę. Do tego ostatniego obozu przyłączył się i „Dziennik poznański,“ którego redaktor jak powiadają złośliwi, toruje sobie drogę dla objęcia kierunku przyszłego wielkiego dziennika we Lwowie. Odgłos tej walki, która z bruku lwowskiego przeniosła się na papier, zbudził nawet numer 5ty „Głosu wolnego“ w tym roku. Jak ten swawolny szczeniak probujący swego głosu, i ten mały organek wychodzący na podwórze w miarę potrzeby, naujadał przeciw warchołom lwowskim w imię zasady „Rznij prawdę o ile kto zapłaci“.

No, i bądź-że tu teraz czytelniku mądrym i zgadnij kto cię bije, jeżeli pan Polanowski et Consortes z Sokala skonstatowali zdradę Narodówki czekając przez lat dziesięć jej odrodzenia.. Nieodrodziła się podług modelu tych panów — niech ginie!...

Zapowiedziany na Nowy Rok Mesyasz dziennikarski, ten sam któremu Redaktor poznański toruje drogi, sprawił nie małą senzacyą między gazeciarzami. Naśladując c. k. policyą ostrzą oni groty i miecze na wszelki wypadek, jeżeli ten nowy przybysz zechce być fałszywym prorokiem na tutejszym bruku... Powszechna opinia wietrzy w nim wilka który ma zamiar zakraść się w baraniej skórze między warchołów tutejszych... Oj będzie też heca, dalibóg będzie rąbanina, a ludek nasz łaknący widowisk tego rodzaju, już zawczasu zaciska ręce z radości... Bądź co bądź Lwów ma swoje przekonania, jakkolwiek bardzo dalekie od przekonań konserwatystów naszych, wszelako ma i tak łatwo od nich nie odstąpi, czego dowodem rozsprzedanie czterech edycyi mów pp. Wolskiego i Hausnera.

Ci co z daleka i uważnie na całe to zajście patrzą, widzą przez mgłę, że to tyralierka tylko, przednich czat armii sposobiącej się do walnej bitwy przy nastąpić mających wyborach do przyszłej Rady państwa. O ile słychać, formuje się tu nowy komitet wyborczy opatrzony działami Kruppa i kto wie jak wypadnie!

Tymczasem ostatni tydzień przed adwentem przyniósł tyle wesel u nas, że mężczyzna nieżonaty we Lwowie niedługo będzie rzadkością. W zeszły piątek; pobłogosławiono grubszych par dwadzieścia siedm a panny doszły do takiej ceny, że nawet bez posagu a trudno ich dokupić.. Stanie się to, co owe zapowiadane ostatnie przedstawienia jakiego widowiska, zatem nie obawiajcie się panowie choć Św. Andrzej za pasem, przyjdzie jeszcze karnawał, i na powszechne żądanie znajdą się i dla was kandydatki... Rzeczywiście, czy to z powodu taniego roku, czy pięknej prawie wiosennej pogody, czy skutkiem spodziewanej wojny — ale kto tylko może to się żeni. Nawet ciężka czterdziesto funtowa artylerya, nawet literackie motyle, wszystko to lgnie na ten lep wdzięków naszych Lwowianek, które powiedzmy to otwarcie, z odwagą przetrzymały ciężkie czasy i dziś obchodzą zwycięstwo.

Razem z nadchodzącym śledziem adwentowym, ciągną koncerta i odczyty, idą wieczorki akademickie jeden za drugim. P. Abakanowicz, to źródło nowości amerykańskich, zachwyca publiczność okazując gadające fonografy... Na ostatnim odczycie sala była pełną, a spodziewać się należy, iż dalej toż samo będzie, gdy przyjdą telefony na próbę, i oświetlenie elektryczne ze świeczkami Jabłoczkowa, które już zaczyna wchodzić w użycie zamiast gazu... Poniedziałkowe przedstawienie w teatrze na rzecz rannych ubogich w ostatnich zajściach, przyniosło blisko czterysta reńskich dochodu, a składki publiczne płyną dość obficie jako dowód sympatyi i dobrego serca Lwowian dla niewinnych ofiar. Na koncercie tym pojawiła się pani hr. Cetner (dawniej Targowska), zachwyciwszy słuchaczy znakomitą swą deklamacyą, a choć zrazu ułożony program na tę uroczystość, wskutek nakazu c. k. Namiestnictwa i drażliwości niektórych koncertantów, uległ znacznemu przekształceniu, słuchacze nic na tem nie stracili.

Wieczory urządzane w rocznicę śmierci Adama Mickiewicza, przyjęły się już w całym kraju i za granicą nawet, gdzie Polacy w większej liczbie się znajdują — stały się uroczystością narodową. Młodzież nasza, trzeba jej to oddać na pochwałę, tradycyjnie przechowuje pamięć wielkiego poety, przypominając następcom swoim, że cześć oddawana wielkim mężom narodu, jest najlepszą rękojmią konserwacyi uczuć patryotycznych... Szczęść Boże, kochana młodzi, idź w ślady swych poprzedników, i nie pozwól poniewierać czcią takich ludzi jak śp. Adam, nad którym pyszałkowate zuchwalstwo niektórych krytyków, śmie głosić ujemne wyrocznie.

„Przyjaciel ludu“ i „Gazeta wiejska“, dwa pisma dwutygodniowe wydawane przez śp. Hipolita Stupnickiego, w tych dniach pod bardzo korzystnemi warunkami dla rodziny zmarłego, nabył pan Düll, obywatel tutejszy, a redakcyą tychże objął p. Martynowski zdolny i gorliwy propagator oświaty ludowej. Pisma te liczące przeszło tysiąc dwieście czytelników przeważnie między oficyalistami prywatnemi, propagowały zawsze i przedewszystkiem gorącą miłość do ojczystego kraju... Spodziewać się więc należy, że nowa redakcya nie zejdzie z tego stanowiska, a wykształcona publiczność poprze usiłowania redakcyi protegując i zachęcając do dalszego rozpowszechnienia tyle użytecznych pism ludowych.

* * *

Znów zanotować musimy nowy wynalazek, jako niespodziankę elektryczno-akustyczną p. Vorleya, fizyka angielskiego, nad którą niedawno zachwycała się akademia francuska. Nazwany on został *kondensatorem śpiewającym*, czyli kondensa-

torem cewki Rhumkorffa, która w dziejach elektryczności już dawno znakomite zajmuje miejsce. Jest to walec tekturowy otoczony warstwą bardzo ciemnego drutu obwiniętego jedwabiem długości w większych przyrządach na 10 mil jeograficznych. Cienki ten drucik nie dotyka bezpośrednio walca tekturowego, lecz przegrodzony jest pokładem kilkuset metrów drutu znacznie grubszego również okręconego jedwabiem. Jeżeli po drucie grubszym przebiega ciągle prąd elektryczny przerywany, rozbudza on w drucie cienkim inny prąd zwany indukcyjnym, wywołujący potężne działania cieplikowe, świetlne i mechaniczne. Działanie prądu wzmocnione jest tak zwanym kondensatorem, składającym się z kilku warstw cynfolii a umieszczonym w szufladce pod walcem. Otóż dawno już zauważano, że kondensator ten wydaje dziwne, niewytłumaczone zresztą dźwięki, których właśnie użył p. Vorley dla przesyłania śpiewu na znaczną odległość, przyczem śpiew ten przybiera cechy głosu wiolonczeli lub oboju. Natężenie głosu w ten sposób przeobrażonego jest tak silne, że nie ma potrzeby do słyszenia go używać rożka jak w telefonie — głos rozchodzi się po znacznej przestrzeni. Użycie tego kondensatora jest następujące. Druty wychodzące od obu biegunów słabego stosu, łączą się z grubym drutem cewki Rhumkorffa w podstawie której umieszczony jest ów kondensator śpiewający. Jestto właściwie zeszyt papieru, którego karty poprzedzielane są listkami cynfolii wystającej po za papier naprzemian na prawo i lewo. Rura głosowa taka sama jak u telefonu wpuszczona jest w drut prowadzący do stosu i może być w znacznej od niego odległości.

Śpiewak rzucając tony w otwór rury głosowej sprowadza drgania tafelki czyli błony w tej rurze, a te przerywają i zamykają prąd biegnący po drucie, przez co rozumie się, podobne przerywania mają miejsce i w grubym drucie cewki z tym drutem połączonej. Przerywania te prądu głównego, dają początek prądowi indukcyjnemu, a ten właśnie prąd w sposób dotąd nieznany, wytwarza w kondensatorze z papieru tony tak silne i zgodne ze śpiewem, że mogą być słyszane w rozległym obszarze.

TEATR.

(Podróż pana Perrichon, komedya w 4 aktach z francuskiego. Przedstawienie Hamleta).

Podróż pana Perrichon należy do lepszych produktów dzisiejszego francuskiego komedyopisarstwa. Głównem jej zadaniem dać moralny wizerunek ograniczonego egoisty ze strony mieszczańskiej, p. Perrichon, który stosując się do wymagań mody, wybrał się w podróż letnią w góry, wraz z żoną i córką. Dwóch wielbicieli tej ostatniej pospiesza za rodziną Perrichon i wszelkimi sposobami stara się sobie zjednać papę pięknej panny. Jest to więc walka, ale walka prowadzona z otwartą przyłbicą; współzawodnicy, dawni koledzy, z niczem się przed sobą nie ukrywają. Jeden z nich ocala życie panu Perrichon i niejednokrotne wyświadcza mu przysługi, drugi przeciwnie udaje, iż się znalazł w niebezpieczeństwie aby tylko dać sposobność papie Perrichon do odegrania roli mniemanego wybawcy. Panna jest za pierwszym współzawodnikiem, ale w sercu papy Perrichon drugi odnosi zwycięstw nad pierwszym, gdyż Perrichonowi przyjemniej czuć się wielkim wybawcą niż pamiętać o długu wdzięczności. Dopiero podsłuchana rozmowa otwiera oczy śmiesznemu egoiście i jak się kończy sztuka, każdy się łatwo domyśli.

W roli papy Perrichon występował p. Zamojski, i jak się łatwo domyśleć, wywiązał się ze swego zadania ku ogólnemu zadowoleniu.

Popołudniowe niedzielne przedstawienie „Hamleta" ściągnęło ogromne tłumy publiczności do teatru. W sztuce tej jest coś magnetycznego, co przyciąga i trzyma w oczarowaniu nawet tych, którzy nie wnikają głębiej w myśl utworu, którzy nawet wcale nie wnikają i przechodzą nad bezdennemi przepaściami myśli, nic o nich nie wiedząc. To też galerya nabitą była pod sam sufit, i wymownie świadczyła o tem, że Hamlet jest sztuką dla wszystkich warstw publiczności.

Nie pierwszy raz widzieliśmy p. Ładnowskiego w roli „Hamleta". Talent jego jakby strojony do tej roli, jednak należy wyznać otwarcie, że tym razem grze jego brakowało trochę jednolitości. Dotyczy to tylko niektórych scen pierwszego i drugiego aktu, w trzech bowiem ostatnich aktach nie dostrzegliśmy ani jednego akcentu, któryby zostawał w niezgodzie z ogólnem tłem, z ogólnym tonem charakteru „Hamleta". Z gry innych artystów na szczególne uznanie zasługiwała gra pana Zamojskiego w roli Poloniusza, pana Zboińskiego w roli grabarza. Poloniusz przedstawiony był z nadzwyczajnym taktem, grabarz był wybornym ćwikiem. Pani Ładnowska w roli „Ofelii" miała szczęśliwe chwile i zbierała huczne oklaski.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Nekrologia.

†

LUDWIK MIEROSŁAWSKI.

Dnia 23. listopada b. r. umarł na wygnaniu w Paryżu jenerał Ludwik Mierosławski w 66 roku życia.

Ludwik Mierosławski syn pułkownika wojsk napoleońskich i Kamilli z rodziny francuskiej Notte, przyszedł na świat w 1812 r. w Nemours we Francyi. W 1814 przybył do kraju wraz z ojcem, który wstąpił w szeregi formującego się wojska polskiego w Królestwie Polskiem. Chodził do szkół w Łomży, następnie do szkoły kadetów w Kaliszu, zkąd przeniósł się do szkoły podchorążych w Warszawie, gdzie go powstanie listopadowe zastało. Odbywszy całą kampanię 1831 r. wraz z innymi emigrował do Francyi. Tu oddał się literaturze i napisał kilka poematów i powieści politycznych jak: *Bitwa Grochowska, Szuja, Pugaczew, Żelazna Maryna,* oraz w języku francuskim *Aperçu rapive sur l'histoire universelle, Histoire de la revolution de Pologne* 3 tomy. Następnie zaniechał prac literackich i poświęcił się wyłącznie polityce i wojskowości. Od sporów emigracyjnych trzymał się długo na uboczu aż dopiero około r. 1844 wstąpił do Towarzystwa Demokratycznego, które wówczas było potężnym, jednolitym związkiem politycznym i liczyło półtora tysiąca członków. W następnym roku został wybrany na członka *Centralizacyi.* Od tego czasu poświęcił się zupełnie sprawom towarzystwa demokratycznego, porzucił profesurę historyi w szkole politechnicznej i sławną mową swoją 1845 r., którą Tow. dem. a za niem cała emigracya i kraj cały przyjęły jako swój program, stanął na czele ruchów narodowych i rozpoczął czynne przygotowanie powstania, które miało zorganizować się w Prusach i Galicyi a być wymierzone przeciwko Moskwie. Upełnomocniony przez Tow. dem. z władzą dyktatoryalną, jedzie do kraju i organizuje sprzysiężenie, pierwszym objawem którego było zawiązanie tymczasowego rządu narodowego w Krakowie i w Poznaniu. Wśród tych robót aresztowany w Poznaniu z wieloma spiskowcami przesiedział dwa lata w więzieniu berlińskiem, gdzie przed sądem wygłosił swoją obronę, która jest szczytem potęgi Mierosławskiego. Obrona ta, jakiej równej może nie ma w dziejach ludzkości i która po wieczne czasy będzie ozdobą i chlubą narodową, która jakkolwiek wygłoszona w języku francuskim nie zrozumiałym ani dla publiczności ani dla prokuratora, była przez tegoż ciągle przerywaną z powodu, iż pobudzała co chwilę publiczność do ogólnego płaczu, obrona ta była zarazem pierwszym krokiem do upadku Mierosławskiego. Nie zapierał się on swoich zamiarów tylko dowodził słuszności takowych, wzywał trybunał, aby nie owych kilkuset uwięzionych, ale cały naród sądził, bo cały naród chce Polski, dąży do niej i nie dążyć nie może. To przyznanie się do zamiarów odbudowania Polski zciągnęło na Mierosławskiego pierwsze gromy niezadowolenia szlachty poznańskiej. Mierosławski przez trybunał został skazany na ucięcie głowy toporem, o ułaskawienie nie pozwolił swemu adwokatowi prosić, to też ułaskawienia nie było. Tymczasem wybuchła rewolucya marcowa (1848 r.) w Berlinie, lud odbił więzienie i tryumfalnie obwoził Mierosławskiego i Libelta po ulicach Berlina a przejeżdżając przed pałacem królewskim kazał królowi zdjąć czapkę. Z Berlina Mierosławski udał się w Poznańskie, prowadził dalej dzieło rewolucyjne lecz napotkał już na opór szlachty i tylko na czele ludu i członków Tow. dem. w dniach 1, 2 i 3 maja pod Miłosławiem, Książem i Wrześnią gienialnemi ruchami kierując swój oddzialik, trzykrotnie pobił czterykroć silniejszego nieprzyjaciela. Nie mogąc jednak sprostać wzrastającym siłom pruskim, gdy nie znajdował współczucia w kraju, zamierzał przenieść się do Galicyi, ale aresztowany i wydalony za granicę udał się do Paryża, zkąd wezwany do Włoch, objął dowództwo nad powstaniem Sycylijskiem, gdzie się odznaczył szczególniej obroną Katony. Ciężko raniony w 1849 r. opuścił Sycylię. Wezwany następnie w tymże roku do Niemiec objął naczelne dowództwo nad siłami rewolucyjnemi w Badeńskiem, gdzie prowadził kampanię przeciw dzisiejszemu królowi pruskiemu, ale pomimo kilku pomyślnych utarczek nie miał powodzenia, gdyż reakcyjne żywioły w Niemczech górę wzięły.

Następnie osiadł w Wersalu i Paryżu gdzie utrzymywał się z dawania lekcyi. W r. 1859 wezwany do Włoch otrzymał nominacyą na jenerała dywizyi armii włoskiej, lecz że wojna się skończyła nie brał udziału w takowej. W roku 1861 z powodu ruchów w kraju sprzedał rządowi włoskiemu swój jeneralski stopień a właściwie pensyę do niego przywiązaną i za wzięte pieniądze założył polską szkołę wojskową nasamprzód w Genui, przeniesioną potem do Cuneo, która przygotowała dla powstania 1863 r. wielu zdolnych oficerów i dowódzców. Równocześnie z wybuchem powstania 1863 r. dnia 21. stycznia Rząd Narodowy Polski złożył w ręce Mierosławskiego dyktaturę. Pałając niepohamowaną chęcią służenia krajowi objął dowództwo nad malutkim oddziałkiem ze stu ludzi złożonym i po dwukrotnem spotkaniu z kilku tysięcznym oddziałem Moskali pod Krzywosączem (gdzie pod nim konia ubito) i Nową wsią gdzie otrzymał kontuzyę, odwieziony został do Poznania, a wyleczywszy się, przybył w końcu marca do Krakowa. Ale było to już po bolesnej komedyi z dyktaturą Langiewicza. Wrócił do Paryża. Tu wspierany przez księcia Hieronima Napoleona i cesarza Ludwika Napoleona III przygotowywał wyprawę na Żmudź, lecz partya przeciwna nie dopuściła do uskutecznienia takowej. Sierpniowy rząd narodowy mianował Mierosławskiego jeneralnym organizatorem sił po za krajem będących a Mierosławski niezrażony tylu niepowodzeniami, począł z Liége organizować wielką wyprawę siedmiu oddziałów, lecz Targowiczanie i tym razem nie zaspali odbierając mu wszelkie środki pieniężne, buntując przeciw niemu senat francuski i odbierając nakoniec nominacyę.

Nie ustał jednak Mierosławski w pracy i do ostatniej godziny każda myśl jego, każda chwila poświęconą była dla Polski.

Oprócz czynnego życia politycznego i wojskowego napisał wiele dzieł politycznych w języku polskim, francuskim i angielskim.

Najznakomitszem z wojskowych dzieł jego jest: *Krytyczny rozbiór kampanii 1831 r.* w 2 tomach, dzieło to przetłumaczone na język niemiecki, używane było

w szkołach wojskowych pruskich i w akademii wojennej petersburskiej, jako jeden z najznakomitszych podręczników wojskowych. Napisał kontynuacyę dzieła Mochnackiego *Historya powstania 1830 i 31 r.*, której 5 tomów wyszło z druku, tom zaś 6 ostatni zupełnie ukończony pozostawił. Opisał wypadki Poznańskie w dziele pt. *Powstanie Poznańskie*. Oprócz tego pisał bardzo dużo i miewał wielokrotnie publiczne wykłady jako to: O wojennej geografii polskiej, O historyi rewolucyonizmu w Europie itp Nieporównany mówca, porywał słuchaczy i ściągał na swoje wykłady nawet najzaciętszych swoich nieprzyjaciół.

Największym zarzutem czynionym Mierosławskiemu jest ten, że nie pojmował Polski bez siebie. Ciężki to zarzut, ale na złagodzenie go niech nam wolno będzie przytoczyć, że nie rozumiał siebie bez Polski. Dla niej tylko żył, dla niej pracował bez wytchnienia, dla niej znosił nędzę, upokorzenie, zniewagi, obelgi najnikczemniejsze. Cierpiał, pracował i nie tracił nadziei. Człowiek takich zdolności, tak rozległej, zdumiewającej wiedzy w każdem społeczeństwie śmiało mógł sięgnąć po najpierwsze zaszczyty i godności i nie odmówionoby mu ich ani we Francyi, ani we Włoszech, gdyby tylko był chciał naturalizować się. Wolał ciężko pracować na kawałek suchego chleba, obywać się bez ciepłego pokarmu, zrezygnować ze wszystkich przyjemności życia, aby na imieniu swojem nie pozostawić najmniejszego cienia, najmniejszej skazy, aby być w każdej chwili najgodniejszym synem tej wielkiej, świętej Polski, dla której życie swoje poświęcił.

Nikt z pewnością nie miał tylu nieprzyjaciół co Mierosławski, ale nie był on temu winien. Jeżeli imię Kołłątaja jeszcze dziś w 66 lat po jego śmierci jest bezcześczone, jeżeli dziś wychodzą dzieła najpotworniejszemi fałszami jego pamięć szkalujące, pomimo tak świetnych a wyczerpujących życiorysów jak Jana Śniadeckiego i Henryka Schmitta, to czyż dziwić się można, wobec naszej lekkomyślności, że tysiączne brednie o Mierosławskim obiegają Polskę od Bałtyku do Czarnego morza. Taki jest los wielkich ludzi ujarzmionego narodu. Przyjdzie czas kiedy Mierosławski zajmie należne mu miejsce w Panteonie narodowym.

Polska straciła w nim wielkiego męża, najcnotliwszego obywatela, najszlachetniejszego syna.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Mowy Ludwika Wolskiego i Ottona Hausnera* miane w parlamencie austryackim dnia 4. i 5. listopada, wyszły w ubiegłym tygodniu w *trzeciem* i *czwartem* wydaniu. Jest to niewątpliwie pierwszy przykład między wydawnictwami polskiemi, aby w ciągu dwóch tygodni rozprzedały się cztery wydania, razem kilka tysięcy egzemplarzy, tem bardziej gdy zważymy iż mowy te były już drukowane w dziennikach politycznych. Wprawdzie dzienniki jak *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski* podały je z powodu koniecznego w takich razach pospiechu bardzo niedokładnie według pism niemieckich, *Czas* zaś swoim trybem rozmyślnie fałszywy tekst podał, wydanie zaś *Księgarni Polskiej* jest opracowane według stenograficznych zapisek, wskutek czego wydanie to nabrało prawdziwej wartości. Mowy te zostały przetłumaczone na język francuski, włoski, angielski.

W czemże tkwi ta ich niepospolita wartość i zkąd bierze się to powszechne zainteresowanie? Mowcy nie powiedzieli nic nowego, czegoby każdy z nas nie czuł, nie wskazali nowych dróg, nie zamanifestowali nawet wybitnie polskiego charakteru, jak to czynią posłowie polscy w parlamencie berlińskim. I to właśnie że wypowiedzieli to, co każdy czuje, tak w Polsce, jak dziś niemal w całej Europie, że zaprotestowali w imieniu ludu przeciwko matactwom dyplomacyi, że od lat wielu niesłyszany głos w imię przyrodzonego prawa podnieśli przeciw grabieży krajów i podziale ludów jakby trzody jakiej, to znalazło swój oddźwięk we wszystkich piersiach, tem obudzili dla siebie sympatye wszystkich uczciwych ludzi. A że właśnie to polscy posłowie ujęli się za prawo człowieka, ztąd nasza radość, tem większa, o ile że od lat piętnastu reprezentanci nasi błąkali się po różnych manowcach i czepiając się najróżnorodniejszych sztandarów, tak byli zdyskredytowali imię polskie, iż patrzano na nas jako na trupa gnijącego, jako na wsteczników nie odczuwających postępu, nie czujących nawet własnej obroży.

*** W tych dniach wyszedł z druku zeszyt „Ateneum“ za miesiąc listopad r. b. i zawiera: 1) Krzyż nad otchłanią, studyum kobiece, przez Deotymę. 2) Kwestya wschodnia w nowej fazie, skreślił T. T. Jeż (dokończenie) 3) Z archiwum Mniszchów, przez Kanteckiego. 4) Wychowanie publiczne w Anglii, według źródeł angielskich i niemieckich, opracował Teofil Krasnosielski, część druga (dokończenie). 5) Kilka słów o naszej poezyi dramatycznej, przez Bolesława Czerwieńskiego. 6) Zbigniew Ossoliński, wojewoda sandomierski. przez dra Wojciecha Kętrzyńskiego. 7) Dzień św. Marcina, przez Władysława Niedźwieckiego. 8) Krytyka: Assenizacya miast. Tymczasowe środki assenizacyi miast naszych, opracował dr. Stanisław Markiewicz z Soczewki (osobne odbicie z „Medycyny“) z 9ma drzeworytami w tekscie. Warszawa 1878, przez dra Gustawa Fritsche. 9) Kronika naukowa przez Brunona Abakanowicza.

*** Towarzystwo zachęty sztuk pięknych przeznaczyło jako premię na rok 1879 medalion Kraszewskiego z bronzu o dziesięciocalowej średnicy.

Po uwiadomieniu o tem artystów-rzeźbiarzy wpłynęło rychło ośm medalionów mistrza naszej poezyi.

Znajdują się one w dolnym salonie Towarzystwa i zwracają uwagę znawców i amatorów.

Prym co do podobieństwa trzyma medalion pana Ostrowskiego. płasko przytem a więc do bronzu traktowany, dalej przedstawia się tu korzystnie medalion p. Pruszyńskiego, subtelnem zaś wykończeniem celuje praca p. Klossa.

Wyboru z pomiędzy dzieł tych dopełni komitet Towarzystwa w dniu 18. bm.

*** P. Stefan Bakałowicz, akademik petersburski, otrzymał w tych dniach wielki srebrny medal w klasie kompozycyi.

*** Józef Brandt ma obecnie na sztalugach dwa nowe płótna.

Jedno z nich przedstawia epizod z wojen szwedzkich, drugie zaś traktuje moment z wypraw husyckich.

*** Stan zdrowia Henryka Wieniawskiego — jak nam telegraficznie doniesiono — jest już pomyślniejszy.

*** Pan Józef Tarczyński wydał swej kompozycyi mazurek salonowy „Wspomnienie Płocka“.

*** Ryszarda Reppla *Dzieje Polski* wychodzą nakładem Księgarni Polskiej. Właśnie opuścił prasę zeszyt I. (Przedpłata na całe dzieło w 2 tomach wynosi 6 złr.)

*** Pan J. Osiecki zapowiada wydawnictwo tygodnika humorystycznego w języku polskim w Wiedniu pt. *Meteor*. Pan Osiecki wydawał już w Wiedniu pismo polskie jeszcze przed powstaniem pt. *Postęp*.

*** Akademia sztuk pięknych w Monachium wraz z towarzystwem artystów monachijskich powołały rodaka naszego p. Józefa Brandta na delegata swego w sprawie międzynarodowej wystawy sztuk pięknych, mającej się odbyć w roku przyszłym w stolicy Bawaryi. Zadaniem Brandta będzie porozumieć się z malarzami francuskimi co do wzięcia przez nich udziału w projektowanej wystawie. Brandt udał się już w tym celu do Paryża. Tu pozwolimy sobie wyrazić nadzieję, iż i na tym turnieju zabłyśnie świetnie polski pędzel!

*** Na 40 kilometrów od Dronthejmu w Norwegii odkryto prawdziwy skarb numizmatów. Składa się on z 2260 sztuk monet anglosaskich i monet z czasów jednego z Henryków niemieckich.

*** Redakcya peryodycznego wydawnictwa „Dosug i Dieło“, przeznaczonego dla ludu, wydaje od czasu do czasu interesujące popularne książeczki. W czasach ostatnich redakcya zajęła się wydaniem całej seryi broszur pt. „Narody składające Rosyę“, z których jedna, mająca za przedmiot opisanie czterech plemion, należących do grupy zachodniej rasy fińskiej, opuściła właśnie w tych dniach prasę drukarską. Cztery pomienione plemiona są: finowie, esty, korełły i liwy. Grupa ta jest dosyć liczną i obejmuje do 2,580.000 ludności. W liczbie tej jednak znajduje się do 3,000 plemienia łoparów, przebywających w gub. archangielskiej a pominiętych w broszurze. Broszura w krótkości tylko wspomina o korełach i liwach i tylko w rozdziale o estach znajdujemy nieco dokładniejszy opis ich charakteru i bytu. Estow ma być wprawdzie około 700.000, lecz i plemię korełłów, liczące do 336,000 ludności, zasługuje też na bliższe opisanie, jakkolwiek jest rozrzuconem w sześciu sąsiednich guberniach. Korełły są autochtonami niejako gub. petersburskiej, twerskiej i innych i w znacznej już zapewne części zruszczeli. Liwy za to, zamieszkujący w liczbie tylko 2.000 pomorze Kurlandyi i liczący 14 jedynie wiosek odznaczają się wielkiem zamiłowaniem swej narodowości, stoją wyżej pod względem rozwinięcia od łotyszów, wszyscy prawie umieją czytać i pisać, zasługując tem na uwagę. Najdokładniej w pomienionej broszurze opisani zostali właściwi finnowie, którzy w liczbie 1,540,000 zamieszkują Finlandyę i część gub. petersburskiej. Autor opisuje: przyrodę kraju, charakter ludności, pokarmy, odzież, mieszkania, uroczystości fińskie, ich język i poezyą. Dołączono przytem trzy rysunki, przedstawiające typy i kostiumy opisywanych plemion.

*** Czytamy w *Nowinach* warszawskich:

„Niedawno założone przedsiębiorstwo kolportacyjne gazet i pism peryodycznych rozwija się podobno pomyślnie, o czem wnosić można ze wzrastającej stale liczby sprzedawanych egzemplarzy. Słyszeliśmy też, że kierujący przedsiębiorstwem otrzymali od różnych redakcyi i podobnych przedsiębiorstw zagranicznych propozycyę kolportowania i ich gazet i wydawnictw. Cieszy nas bardzo tak rychłe uznanie naszej skromnej działalności w krajach ościennego Zachodu, pragnęlibyśmy jednak, ażeby przedsiębiorstwo wypróbowało swe siły i zmężniało przedewszystkiem na miejscowej produkcyi drukarsko-literackiej i nie brało przykładu z pewnego rodzaju młodocianych latorośli, które pierwej uczą się konwersować po francusku, aniżeli mówić po polsku. Kolporterya zresztą uliczna liczyć może na bezwarunkowe powodzenie, jeżeli tylko zajmujący się nią zajmą się energicznem bieganiem po domach, wyszukiwaniem miejsc ludniejszych i osób, którym z oczów patrzy nieugaszona chęć wiedzy, a kieszenie absolutnie nie świecą dziurami.

„Przedsiębiorstwo odpowiada w zupełności naszym potrzebom, należy go tylko umiejętnie poprowadzić, ażeby ominąć szkopuł, o który rozbija się nasza niewyczerpana inwencya.“

U nas niestety konstytucya zabrania kolportażu a to dzięki solidarności delegacyjnej, która przegłosowała wszystkie paragrafy tamujące rozwój dziennikarstwa polskiego.

Wystawa powszechna.

*** Zamkniętą teraz wystawę powszechną zwiedziło w ogóle 16 milionów ludzi. Podczas wystawy, w ostatnich więc sześciu miesiącach przybyło do Paryża wedle obliczenia w prefekturze uskutecznionego 58,916 Anglików, 28.830 Belgijczyków, 21,778 Niemców, 11,980 Szwajcarów, 12.573 Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych, 8,501 Austryaków, 6,682 Holendrów, 1,767 Duńczyków, 2,705 Szwedów, 5,725 Rosyan i t. d. Samo się przez sią rozumie, że liczby te podają tylko gości, którzy stanęli w hotelach.

W ostatnim dniu zwiedziło wystawę 130,000 osób i to 63.139 płacących, 40,451 robotników, którzy mieli bilety wolnego wstępu i 30,000 abonentów. Dochód ogólny od 1. maja aż do dnia 10 bm. włącznie wynosił 12,653,796 fr. 25 cent. czyli w przecięciu 2 miliony na miesiąc; dochód ten przewyższa dochód wystawy z roku 1867 o 2,823.377 fr. 50 ct. Ponieważ zaś tegoroczna wystawa miała nadto 810,366 fr. 55 cnt. dochodu nadzwyczajnego, przeto przewyższa dochód jej dochodu wystawy z 1867 roku właściwie o 3.363,741 fr. Dzienny dochód z biletów wstępu wynosił w r. b. 65.408 fr. w 1867 roku tylko 35,000 frank. Biletów wolnego wstępu rozdano robotnikom, żołnierzom i t. d. w b. r. 950,000, w 1861. r. tylko 400,000.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

*** W Krakowie odbył komitet uroczystości jubileuszowej J. I. Kraszewskiego posiedzenie. Uchwalono na niem ostatecznie zamówić wieniec srebrny według rysunku przez komitet przedłożonego; wieniec ten będzie podarunkiem od Krakowa; miasto ma się złożyć na pokrycie kosztów. Aby zaś jak najwięcej osób wzięło udział, postanowiono, iż najwyższa składka wynosić może 1 zł. w. a. Co się tyczy miejsca i czasu obchodu jubileuszowego, nic jeszcze nie zapadło stanowczego. Istnieje wszelako zamiar odbycia uroczystości jubileuszowej J. I. Kraszewskiego w Krakowie w pierwszych dniach lipca 1879 r. w sali nowo odbudowanych Sukiennic.

*** Wydanie jubileuszowe warszawskie dzieł J. I. Kraszewskiego przyniosło po dzień 1 Września

26,001 rs. 29 kop. dochodu brutto. z czego netto dla Jubilata przypada rs. 10,217. 55 kop. Z całkowitego nakładu 12.000 egzemplarzy zaprenumerowano dotąd 9.209 egzemp.

Szkoły.

*** Liczba studentów uniwersytetu warszawskiego wynosi obecnie 538. wolnych słuchaczów 36, a farmaceutów 167, jak się dowiadujemy o tem z ogłoszonego drukiem spisu.

Najwięcej znajduje się studentów na wydziale lekarskim, a mianowicie 255, w tej zaś liczbie na pierwszym kursie 113, na drugim 50, na trzecim 39, na czwartym 26 i na piątym 27.

Z kolei co do ilości następuje wydział prawny, liczący 173 studentów: na pierwszym kursie 56, na drugim 50, na trzecim 39, oraz na czwartym 28.

Potem idzie wydział matematyczny, na który uczęszcza 60 studentów, z tych na pierwszym kursie, jest 33, na drugim 8, na trzecim 11 i na czwartym 8.

Wydział nauk przyrodniczych i filologiczny są najnieliczniejsze, ponieważ na pierwszym z nich znajduje się 27, a na drugim 23 studentów.

Liczba studentów na dwóch rzeczonych fakultetach tak się przedstawia: na pierwszym kursie wydziału nauk przyrodzonych 11 studentów, na drugim 6, na trzecim 9, na czwartym tylko... jeden; na pierwszym zaś kursie wydziału filozoficznego 9 studentów, na drugim 8, na trzecim 2, wreszcie na czwartym 4.

W kontyngensie nowych studentów w roku bieżącym znajdujemy 50 z gimnazyów warszawskich, a 63 z gimnazyów prowincyonalnych, w tej zaś ostatniej liczbie z gimnazyum lubelskiego 12, z łomżyńskiego 11, z piotrkowskiego 9, z kaliskiego 8, z płockiego 7, z siedleckiego 6, z radomskiego 5, z kieleckiego 4, wreszcie z gimnazyum suwalskiego jeden.

Co się tyczy farmaceutów, to na pierwszym kursie jest 108 słuchaczów, na drugim 23.

Zestawiając powyższe dane widzimy, iż w roku bieżącym liczba studentów uniwersytetu warszawskiego powiększyła się, albowiem z początkiem roku zeszłego zapisało się na kursa 525 studentów, których w ciągu roku ubyło stosunkowo dość wielu dla rozmaitych przyczyn.

Wolnych słuchaczów i farmaceutów było w zeszłym roku również mniej, a mianowicie pierwszych 32, drugich 143.

Zaznaczamy także, iż w uniwersytecie zmniejszył się w roku bieżącym napływ wychowańców seminaryów duchownych prawosławnych, w zeszłym r. bowiem wstąpiło ich do uniwersytetu 56, a w tym roku tylko 16.

W końcu dodajemy, że obecna liczba studentów podobno jeszcze wzrośnie, ponieważ od Nowego Roku ma przybyć dość wielu studentów z uniwersytetów moskiewskich.

*** Czytelnia akademicka w Krakowie nadesłała nam swe sprawozdanie za rok 1878, z którego dowiadujemy się, że biblioteka tej instytucyi, mającej na celu rozbudzenie życia umysłowego między młodzieżą akademicką, liczyła w roku bież. 1,290 dzieł w 2,196 tomach i 218 broszur. Przez cały rok korzystało z biblioteki 286 czytelników. Czytelnia w r. b. odbierała pism polskich 69, rosyjskich 1, rusińskich 4, słowackich 1, francuskich 1, niemieckich 22 - razem 98. Najwięcej pism dostarczyła Warszawa bo 26, po niej Lwów 22, potem Wiedeń 20, Kraków 10, a Poznań 7. Dochody wynosiły ogółem 1,546 złr. 38 cnt — rozchód 1,373 złr. 32 cent. Pozostaje więc remanetu 173 złr. 6 cent. Czytelnia liczyła członków ogółem 318, z tego przypada na wydział prawny najwięcej, bo 136. W roku przeszłym było członków nieco więcej, bo 358. Za to znajdujemy ogromną różnicę w liczbie członków czytelni z pierwszym rokiem założenia czytelni. W roku 1867 członków było tylko 83.

ROZMAITOŚCI

*** Doktor Antoni Schlossar napisał książeczkę p. n. „Jedzenie i picie w dawnych czasach.“ Z małemi zastrzeżeniami powtarza on za autorem „Fizyologii smaku: „Czytajmy wszystkie dzieła historyczne od Herodota aż do naszych czasów, a zobaczymy, że najważniejsze zdarzenia, nawet spiski — brały początek podczas uczt.“ Dr. Schlossar uważa za rzecz dowiedzioną, że istnieje wyraźny związek między pożywieniem pewnego narodu, a jego ogólnym rozwojem, i wskutek tego jest żarliwym obrońcą wszystkich kucharek swego rodzinnego kraju.

Chrześcijaństwo wywarło wpływ cywilizacyjny i na pożywienie w Niemczech. Nastąpił zakaz używania mięsa końskiego, a klasztory zajmowały się gorliwie sztuką kulinarną. Jednakże i tu powstawały nieraz wątpliwości. W 8-mym wieku, biskup Bonifacy zapytywał papieża Zacharyasza jak długo słonina przed użyciem leżeć powinna; odpowiedź papieża brzmiała, że wprawdzie ojcowie kościoła nie zastanawiali się bardzo nad tem, ale on, papież nie pochwala rozpowszechnionego w Niemczech zwyczaju jedzenia słoniny na surowo; pozwala wprawdzie spożywanie jej po Wielkiejnocy, radziłby wszakże jeść ją wędzoną lub gotowaną. Z tego widzimy, ze zachodziły wypadki krępujące pewne przyzwyczajenia, ale wynagradzano to sobie tysiącznemi sposobami.

„Ważny ten czynnik cywilizacyjny“, tak bowiem się wyraża o jedzeniu doktor Szlossar, rozwijał się w sposób zadawalniający aż do połowy 18-go wieku. Podawano po 50 potraw na obiad a przystawki były również obfite. Kucharz Karola VI. kupował samej pietruszki za 10,000 franków rocznie. Pod względem ilości i jakości w jedzeniu Niemcy w tych czasach bardzo podupadły. Dr. Schlossar czuje w głębi serca prawdę tych słów, ale ze względów patryotycznych, nie chce tego przyznać wyraźnie.

*** Przybyły 9. pazdziernika do San-Francisco parowiec przywiózł wiadomość, iż w Nowej Zelandyi pięciu missyonarzy zostało przez dzikich zamieszkujących lesiste okolice zamordowanych i pożartych i że mszczący się z tego powodu kupcy i biali, zabili 80 dzikich; zatem 16 dzikich za jednego missjonarza! Spodziewać się należy, że dzicy potrafią w odpowiedni sposób postąpić z białymi.

*** Podług Figara można przywrócić pierwotną białość koronkom w następujący sposób. Najpierw prasuje się je lekko, zwija i moczy przez 24 godzin w oliwie. Następnie gotuje się przez 15 minut w wodzie z mydłem a po wyjęciu wypłukuje w letniej wodzie i krochmali troszeczkę. Wtedy dopiero rozwija się koronki i rozpina na szpilkach ażeby wyschły.

*** Zalanie menażeryi. W Nowym Jorku znajduje się prześliczny zbiór zwierząt w parku centralnym, umieszczony z wielkim komfortem w obszernej dolinie. Przed kilku laty nikomu na myśl nie przyszło, iż menażerya o jakiej mowa, na potop może być narażoną. Otóż stało się, że niedawno w Nowym Jorku miała miejsce burza, połączona ze strasznym huraganem. Wody z wyniosłości, strumieniami poczęły zalewać dolinę, zamieniwszy ją w jednej chwili w jezioro. Był to malowniczy widok, jak lwy szakale i wilki, na powierzchni zbałwanionych wód, zaczęły pływać. Zwierzęta nie umiejące sobie radzić w tej powodzi, okropnym chórem ryków i wycia, obawy swoje zwiastowały. Jedna tylko girafa, zachowała należyty spokój; mając wodę u szyi, chrupała sobie siano... to bardzo filozoficznie. Sadzawki zostały zniszczone a jamy większych zwierząt zalane. Zdaje się, że tylko foki, hipopotamy i białe niedźwiedzie z przyjemnością użyły tej kąpieli.

*** Przed kilku tygodniami, w Orleanie, w obecności znanej liczby biskupów, odbył się pogrzeb J. E. ks. Dupanloup. O nim to, słynny sceptyk p. de Mérimée, którego nie możemy posądzać o przesadę, pisał w swoich korespondencyach: „Czy czytaliście list p. Dupanloup? W jego ciele siedzi dusza Torquemady. Miejmy się na baczności chce spalić nas wszystkich.“

Zdanie to przypomina słowa pewnego akademika, któremu p. de Falloux wyrzucał jego przekonania liberalne. „Pańscy przyjaciele, mówił p. de Falloux mogą lada dzień rozstrzelać pana tak jak rozstrzelali Chandeya.“ W każdym razie — odpowiedział akademik — wolę zginąć od kuli moich przyjaciół, niż być spalonym przez pańskich. Sprawi mi to mniejsze cierpienia i odbędzie się szybciej.

P. de Falloux na te wyrazy nie umiał znaleść żadnej odpowiedzi.

*** Sute wesele. Gazety i gazetki dolnej Alzacyi pełne są opisów faktu, który w homeryczne iście przenosi nas czasy.

Jest to wesele sprawiane suto a z wielką pompą w Ittenheim.

Wesele to trwało przez trzy dni i było uroczystością dla całej niemal dolnej Alzacyi.

Miano bo też powód ucztować i sprawiać uroczystości w dniu połączenia się związkiem małżeńskim młodych odrośli dwóch najstarszych i najbardziej szanowanych w Alzacyi rodzin.

Młody a dorodny obywatel ziemski, Diebold v. Fürdenheim, brał za małżonkę najmłodszą córkę Karola Ammel, obywatela i od lat dwudziestu sześciu burmistrza Ittenheim'u

Nadmienić należy, iż dziad panny młodej sprawował też same obowiązki przez lat czterdzieści i wogóle rodzina Ammel'ów stała zawsze na czele miasta.

Gody weselne, jak już wzmiankowaliśmy, trwały trzy dni, a przyjmowało w nich udział przeszło 400 osób, obsłużonych przez trzydziestu z górą służących.

Potrawy na ucztę weselną przygotowało trzech kucharzy, dziesięć kucharek, trzydziestu kuchcików, i niezliczona ilość pomywaczek.

Dla nakarmienia gości zabito dwa woły, dwoje cieląt, kilkadziesiąt wieprzów i mnóstwo owiec.

Godownicy zjedli też czterdziestu zajęcy, sto kilkadziesiąt kurcząt, sto kaczek i około ośmdziesiąt gęsi.

Nie trzeba dodawać, że wino lało się strugami.

Przy kielichu zaproszony na wesele słynny poeta alzacki, Daniel Hirtz, wypowiedział dwa śliczne toasty w narzeczu alzackiem, zostały one skrzętnie zapisane.

Na drugi dzień godów wieczorem urządzono na cześć państwa młodych pyszny fajerwerk, następnie zaś przez noc całą aż do świtu tańczono.

Trzeciego dnia młodzież urządziła wyścigi konne.....

Czyż obrazek nie wart... Iliady?

*** Figlarz!

W tych dniach przed jednym z sędziów pokoju stanął młody człowiek oskarżony o kradzież uliczną.

Schwytano go na gorącym uczynku; zaledwie bowiem zdołał wyciągnąć z kieszeni przechodnia pana Z. portmonetkę, na krzyk poszkodowanego zaczął uciekać.

Dogoniono go wszakże, zrewidowano i portmonetkę znaleziono.

Pomimo tak jawnych dowodów winy, podsądny zapierał się stanowczo, tłómacząc się w następujący sposób:

— Z panem Z... ho! ho... znam się od dawna. Spotykam go na ulicy i widzę z jego kieszeni wystający róg portmonetki. Przyszło mi wtedy na myśl, aby spłatać mu figla i skarać jego nieostrożność. Portmonetkę chciałem wziąć na chwilę a potem pójść do niego jutro, oddać mu ją i pośmiać się z tego jak się będzie martwił przez dzień cały!

— A dlaczego uciekałeś? — zapytał sędzia.

— Rzecz prosta. Jak zaczął krzyczeć „złodziej, złodziej“ a ludzi naszła się kupa, pomyślałem sobie: źle! gotowi mnie posądzić o złe zamiary, lepiej będzie więc uciekać. Uciekałem więc, ale mnie złapano i bardzo niesłusznie posądzono o złe zamiary.

Poszkodowany pan Z. zaprzeczył stanowczo twierdzeniu podsądnego, jakoby z nim znał się kiedykolwiek.

Należy dodać, iż podsądny powtórnie już był karany za przekroczenie siódmego przykazania.

Sędzia pokoju mniej jakoś wierząc tłómaczeniom podsądnego, skazał go na sześć miesięcy więzienia.

— Sześć miesięcy! za figiel — wykrzyknął podsądny — no! no! no!...

Od Redakcyi.

Pani H. L. we Lwowie. Na listy anonymowe nie możemy odpowiadać, dla łatwo zrozumiałych powodów.

Treść Nr. 66. str.

Sielanka nieróżowa. Obrazek miejski przez Elizę Orzeszkową (c. d.) 465
Jan Łaski arcybiskup gnieznieński sprzymierzeńcem sułtana tureckiego. Szkic historyczny przez Dra Aleksandra Hirshberga (c. d.) . . . 466
O zasypianiu i budzeniu się przez Juljana Ochorowicza (c. d.) 467
Trzynasty sędzia. Nowella przez Alberyka Second (Dok.) 468
Studya estetyczne, przez Wojciecha Dzieduszyckiego (c. d.) 470
Uwagi nad Wystawą paryzką (c. d.) . . 471
Pobudka. Wiersz przez Zdzisława. . . 473
Kartka miłości. Powieść Emila Zoli. Spolszczyła Wincenta Limanowska. (c. d.) . . 473
Korespondencye „Tygodnia“. Miłosław. . 475
Tydzień lwowski. 477
Teatr. 478
Wiadomości z kraju i ze świata. . . 478
Rozmaitości. 480
Od Redakcyi. 480

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.